

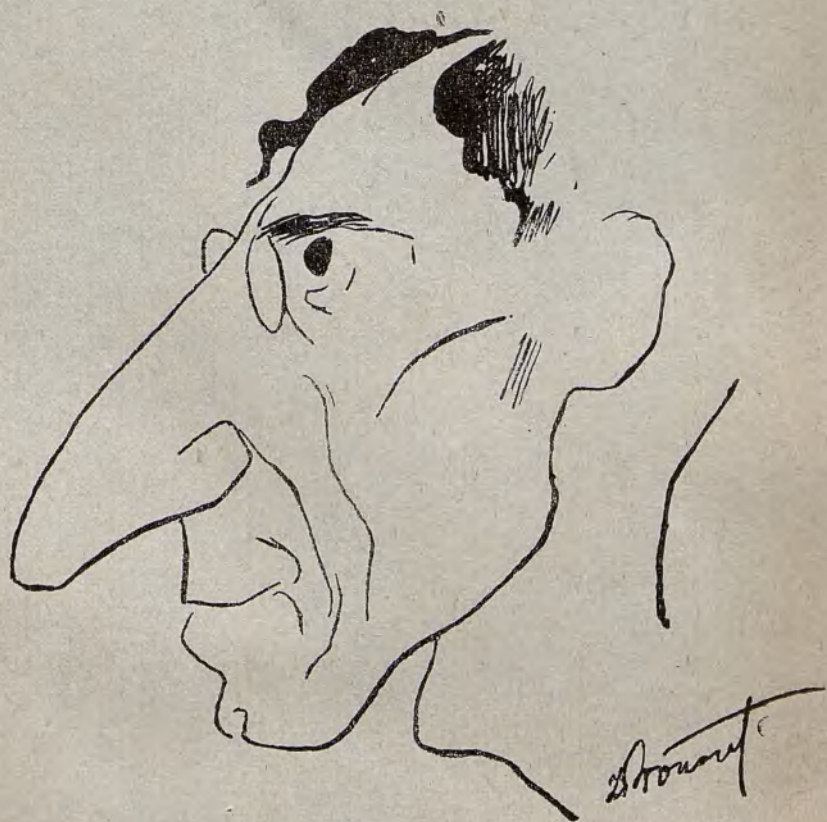
STEFAN NOWIŃSKI



GRUBA BERTA

1915-ECHA-1916

GEBETHNER i SP. KRAKÓW. — GEBETHNER i WOLFF WARSZAWA.



AUTOR —^o RYSUNEK Z. PRONASZKI.

STEFAN NOWIŃSKI.

GRUBA BERTA

ECHA Z LAT 1915 — 1916

Z PRZEDMOWĄ
LUDWIKA SZCZEPAŃSKIEGO.

G. GEBETHNER I SPÓŁKA — KRAKÓW.
GEBETHNER I WOLFF — WARSZAWA.
1916.

LPI 56

4917/55

107853
II

OKŁADKA POMYSŁU P. ZOFII KAHLOWEJ.

Chodorowski Karłowicz

94 - przed, opakka 1

16.8.1955 r.

20. - 21.



ODBITO CZCIONKAMI Drukarni „GŁOSU NARODU”

Czasu srogiej wojny młody, złośliwie dowcipny dziennikarz wymyka się z głębokich okopów redakcyjnych, aby w pojedynkę pohasać po błogosławionym Hinterlandzie — *excusez le mot!* — i wzbogacić łupami swój mały fejteton na marginesie. Maszeruje swobodnie, (oczywiście, o ile polowa żandarmerya cenzury na to pozwala) po różnych odcinkach szczęśliwej krainy, płynącej mlekiem i miodem dla dostawców wojskowych przeważnie jednego wyznania, towarzyszy sanitom i innym rycerzom etapowym, studjuje małe niedole pożycia społecznego z kupcami, rzeźnikami, damami zorientowanymi we wszelkiej polityce... Obserwuje wszystko dokoła bacznie i ostro, uzbrojony w grubą Bertę —

Ale fe!

Zapewne, gruba Berta jest pięknym wynalazkiem i dźwięczne słowa *te, made in Germany*, mile brzmią dziś w niejednym polskim uchu. Ale któż widział, żeby młody dziennikarz strzelał z takiego ciężkiego instrumentu do swych wróbelków w Hinterlandzie? Bodaj nawet, czy cenzura udzieliłaby mu na to „Waffenpassu“, czyli, że użyjemy mniej znanego wyrażenia, karty na broń...

Nie, młody ten dziennikarz w złośliwości swojej chce nas wziąć na kawał! Nie uzbroił się on bynajmniej w grubą Bertę niemieckiego typu, lecz dzierży w ręku małą, zgrabną strzelbinę, którą z dumą i ra-

dością potrząsa po trafnym strzale, pyszniąc się jak ów assesor w „Panu Tadeuszu“:

„*A co, moja fuzyjka! Małeńka ptaszyna,
A jak się popisała! To jej nie nowina...*“

albo jak rejent, który chlubi się bronią angielsko-polskiego wyrobu i wskazuje napis na lufie: *Sagalas London à Bałabanówka*.

Niema kwestyi, że fejletonowy myśliwy, mający dobry gust, nie będzie strzelał z niemieckich ciężkich kalibrów, lecz pójdzie do francuskich mistrzów polowania po naukę i zaopatrzy się we francuską lub angielską broń, lekką, poręczną, wykwinaną.

Czasu wojny, w ciągu której pękło tyle bomb trującej trywialności i rozlegał się nieprzerwany grzechot tylu karabinów maszynowych, miotających kanibalskie perły „humoru“ i „dowcipu“ (proszę spojrzeć tu i tam, wziąć do ręki „Ulki“, „Simplicissimusy“ etc., tak, i „Simplicissimusy!“) miło jest spotkać się z żołnierzem na posterunku małego fejletonu w stylu nie koszarowym. Miło jest ujrzyć błysk szpady rycerskiej, usłyszeć szcęk broni, użytej według zasad sztuki, według prawideł *gaya scienza*.

Młody złośliwy dziennikarz wyruszył z okopów redakcyjnych w świat szeroki — i raz po raz pali ze swej fuzyjki do napotkanej zwierzyny. Celny strzał raduje jego serce myśliwskie, raduje i nas, którzy karty tej książeczki przerzucamy. Strzelaj, młody strzelcze, nie szczędź prochu i łoftek, teren polowania jest rozległy, zwierzyny ci nie braknie!

Ludwik Szczepański.

Kraków, w sierpniu 1916.

Jak powstała Gruba Berta?

(Bajka).

Jak wiadomo, tajemne konszachty Ewy z wężem smutnie się skończyły dla cywilnych mieszkańców raju, to jest państwa Adamostwa — zostali wyewakuowani. Straszny ten wyrok wykonano na nich natychmiast, pod baczным konwojem anioła z mieczem ognistym, nieczułego na prośby nieszczęśliwych. Najrzewniejsze i najśłodsze zakłęcia Ewy, by pozwolił jej zabrać choć trochę zapasów, bodaj tylko dwa kapelusze, puder lub rurki do włosów, pozostały bez skutku. Zdążyli zaledwie zerwać po drodze parę listków figowych, aby choć w części zakryć brak utraconej garderoby. Za wyrzucenymi „poza obręb“ raju zamknęła się brama i — zaczęła się nasza bajeczka.

Przykry nastrój naszych prarodzców łatwo sobie wyobrazi ten, kto czytał Stary Testament (rozdział I, ustęp II), albo ten, komu zbójcy lub sekwestrator podatkowy zabrał wszystko, zostawiając tylko życie i binokle z całego ubrania.

— Co tu począć — westchnął Adam, czyniąc z przyzwyczajenia ruch wkładania rąk do kieszeni spodni.

— Tak być nie może! — złamanym głosem rzekła Ewa, targając nerwowo wachlarz z kapuścianego liścia.

Uradzili, iż trzeba wrócić do raju — ale jak? Postanowili zrazu przekupić stróża-anioła. W czasie jednak rozpatrywania sytuacji i za-

nim powzięli decyzję stanowczego powrotu, raj zamieniono na twierdę. Obmurowano go i oszańcowano, liczne fortv, przyczółki, fosy, wieże pancerne, pola minowe i druty zagradzały przystęp w szerokim promieniu dookoła.

Niezmiernie też zdziwiła się Ewa, przybywszy na miejsce dawnej bramy. Przepływała już wtedy jakaś nowa rzeka, a po drugiej jej stronie, poza fosą i drutami przechadzał się cały oddział aniołów, którym, oprócz mieczy ognistych, dano karabiny z bagnetami.

— Szanowni Panowie! — krzyknęła Ewa — bądźcie łaskawi wpuścić mnie, choć na chwilę! Zapomniałam sobie wziąć pilniczek do paznokci i ostatnie wydanie „nadzwyczajnego“ dodatku, a tutaj strasznie mi się nudzi.

Na to odkrzyknął jej jeden z aniołów dobrodusznie: „Pokrzyżuj sobie kochanie do maja, to ci dobrze zrobi...” Widząc, że nic nie wskóra, powróciła Ewa do Adama, który leżąc pod krzakiem, dłużał w zębach wykałaczką.

— Oni nas dobrowolnie nie wpuszczą — oznajmiła Ewa — obmyślże coś; od czego jesteś mężczyzną!...

Poskrobał się Adam w łysinę, od ciężkiego bowiem myślenia po wyrzuceniu wyłysiał biedak, i poszedł pod okopy raju, kombinując, jakby przełamać te zapory.

Rzucanie kamieniami do aniołów na nic się nie przydało, najcelniejszy bowiem rzut trafiał w próżnię, gdyż anioł nie ma ciała; podsunąć się zaś chyłkiem też nie było można, bo aniołowie wykrywali go reflektorami i wypraszaali karabinami maszynowymi.

— To będzie trochę trudno — oświadczył Adam Ewie po powrocie z nieudanej wycieczki.

— O ja nieszczęśliwa, po co ja za takiego niedołęgę za mąż wychodziłam — poczęła lamentować biedna Ewa — to

wszystko przez ciebie! — twierdziła dalej wbrew historii i Ojcom Kościoła.

Dość, że Adam dostał od tych jęków migreny i począł się energicznie krzątać nad powrotem do raju.

W czasie jednego wywiadu pod rajem spotkał się Adam z wężem, który mimo, że również wyrzucony, często w raju bywał.

— Jakże się panu powodzi? — spytał wąż Adama.

— Podle. Chciałbym się tam dostać z powrotem, ale nie widzę sposobu — odparł Adam smutnie.

— Tu niema innej rady, tylko armatą możnaby coś zrobić...

— Armatą! a cóż to jest?

— Jest to długa dziura, oblana dokoła żelazem, z której się strzela...

— A czemże ja będę strzelać, kiedy nie mam teściowej? — spytał srodze stroskany Adam.

— Wal pan czem innem. Nie mam zresztą czasu na dłuższe objaśnienia! — i wąż szybko opuścił zamyślonego Adama.

Powróciwszy do Ewy, Adam opowiedział jej o spotkaniu i radzie węża, zamilczając jednak dyskretnie swą słuszną uwagę o teściowej.

— Zawsze mówiłam, że jesteś głupi — rzekła Ewa, wysłuchawszy relacji. — Ja o tem samem również myślałam. Tak! tylko armata nam pomoże...

Od tej chwili Ewa zajęła się przygotowaniem do powrotu. Po krótkich poszukiwaniach znalazła w pobliskich górach jakiś przedhistoryczny tunel, który razem przenieśli i ustawili pod rajem jednym wylotem do góry. Do dziury tunelu wrzucili wszystko, co było w pobliżu, a więc: trzy góry, trzy skały i trzy lasy, zatykając tunel mocno korkiem.

— A teraz trzebaby czegoś, coby to wszystko wyrzuciło — oświadczył Adam, skończywszy napełnianie tunelu.

— O tem już dawno myślałam — mruknęła Ewa, siadając u spodniego otworu — już ja to poruszę!

I poczęła mówić do tunelu długo i szeroko o sobie, jaka jest nieszczęśliwa, niezrozumiana, zaniedbywana przez męża, który jest gamoń, leń, brutal, niegodny jej egoista etc. etc. etc., aż skały, góry i lasy, wrzucone do tunelu, nie mogąc dłużej wytrzymać jej gadania, wystrzeliły z hałasem, wybijając dziurę w fortach raju.

Tak to dostali się państwo Adamostwo z powrotem do raju, który nazywa się teraz światem, zaś tunel-armata „grubą Bertą“ od córki Ewy-Berty, a pewien chemik skropił damskie gadanie i nazywa się ono teraz dynamitem, lecz on już nie jest taki silny, jak to poprzednie.



ONA.

Spotkałem ją na Błoniach. Siedziała sama na ławce koło Parku Jordana, smutnie opuściwszy głowę, z rozpacznie załamane rękami. Uderzył mnie strój jej, krojem mundurowym zrobiony, barwy „feldgrau“, na głowie kaszkiet z daszkiem, wysokie buty polowe na nogach. W ubraniu znać było zaniedbanie, w pozie i minie bezbrzeżny smutek i rezygnację.

— Pani w Krakowie? — zagadnąłem.

— Tak! chwilowo wpadłam, patrz pan! co mi zrobili — melancholijnym gestem wskazała na kopiec Kościuszki.

ONA:

— Tam Sikornik!...

JA:

— A no tak.... Sikornik...?!

ONA:

— Był! — ale teraz glaciś...

JA:

— Trochę drzew wycięli, lecz Sikornik został.

ONA:

— Właśnie że nic nie zostało, lasku niema, sikorek niema, nawet wron i wróble nie widać, bodaj źdźbło trawy — nic, ot tu! głucho i pusto. Ludzi ani śladu, jesteśmy sami, jeszcze mnie pan skompromituje...

JA:

— Jestem dziennikarzem....

ONA:

— Choćby, a zresztą może pan zostać, porozmawiamy; tak mi smutno!

JA:

— Chodźmy do miasta; widziała Pani już Planty?

ONA:

— Chyba tę ruinę Plant zaniedbanych, odrapanych, aż na płacz się zbiera. Pusto tu u was, pusto, przeraźliwie pusto! Czy nie ma w Krakowie ludzi? — sami dziennikarze zostali?...

JA:

— Wojna, proszę Pani, mobilizacja, aprowizacja, emigracja, ewakuacja, deportacja...

ONA:

— Coś przecie zostało?...

JA:

— Owszem, ale i ta reszta pakuje się do drogi, albo martwi po domach, trapiąc się w swych fotelach...

Weszliśmy, milcząc, na Planty. Ona wzdychała, rozglądając się po pustych ulicach, trzeba bowiem dodać, że był już wieczór.

ONA:

— Wy się tu chyba nudzicie?...

JA:

— Nie! emocyj mamy więcej niż kiedykolwiek, żyjemy marzeniami, nadzieją...

ONA:

— Nadzieja — to matka... wydziedziczonych! — Spójrz pan na kwietniki: ruina! — „laurów niema, a róże pomarły...” a zresztą dla kogo laury?! — Wy, nie zasługujecie, wy boicie się waszego strachu... wogóle „niema kogo w laury stroić, niema komu wieńców wić...”

JA:

— Na długo Pani przyjechała?

ONA:

— Nie, zajrzałam na chwilę, nie mogę zresztą zostać, nie mam pozwolenia na pobyt, karty na chleb, ani cukrowej. Przybyłam, by „zapłakać nad pomnikiem sławy” i przyniosłam wam — oto!

Tu sięgła do „brotsaka”, jaki miała i dała mi parę kartofli, kilka garstek ziarn: żyta i owsa.

ONA:

— Posiejcie, zasadźcie, choćby na Plantach — rzekła złamanym głosem — miejsce róż zajmie rzepa, o'zgrozo! Ja uciekam, wracam na Południe, tu u Was „jeszcze Północ mrożem dmucha”...

J A:

— Jakże tam, na Południu!...

ONA:

— Tam już pięknie, ciepło, wszystko rozpęka, zakwita...

J A:

— U nas zawsze później!...

ONA:

— Zegnam, idę jeszcze do ogrodu Botanicznego, zobaczyć czyście go zniszczyli...

J A:

— Do widzenia! — kiedyż Panią ujrzymy znów i na dłużej?...

ONA:

— Niebawem, jeszcze nie czas, dowie się pan z biuletynów astronomicznych. „Będziecie godzinę wołaną, będziecie! będziecie mieć!...”

— — — — —

— Ciekawa rozmowa, prawda? — dla ścisłości muszę dodać, że interlokutorką moją była nie Samarytanka, jakby ktoś złośliwy mógł pomyśleć, ale — Wiosna roku 1916, z którą przypadkowo miałem przyjemność rozmawiać. Pani W. bawiła w Krakowie incognito i dla braku świadectwa szczepienia ospy — musiała miasto opuścić...



WOJNA ZA FRONTEM.

Do licznych wojen, toczących się teraz, przybywa nowa, w tym wypadku jednak tylko jedną ze stron walczących są ludzie. Właściwie wojna ta nie jest nową, ale wskutek niezwykłych warunków z dość łagodnego dotychczas sposobu wojowania przeradza się w bardzo zaciekłą.

Jest to wojna z odwiecznym wrogiem ludzkości, fauny i wszelkich ruchomości — muchami, pchłami i wszami. O tych ostatnich pisano już dużo, walkę z nimi podjęło, najwięcej od nich cierpiące wojsko i prowadzi ją skutecznie, muchy zaś i pchły tworzą kwestyę bardziej cywilną, a obecnie wielce dla nas aktualną.

Zacznę od much... Dzięki swej bezczelności weszła mucha w skład gospodarstwa domowego nb. w charakterze pieczeniara. Dzieli z nami wszystko: mieszkanie, jadło, łoże, nie dając ze siebie nic, oprócz wątpliwej wartości popisów wokalnych, rzadko zresztą potrzebnych poetom do pisania sielanek z „brzęczeniem muszek“.

Mucha lub much bez względu na płeć i pochodzenie, czy od dostojnego bąka, czy od zwyczajnej muszki kuchennej pochodzi, jest bezpartyjna, do wszystkiego odnosi się z jednaką nonszalancją; czy to książę, czy baran, tenor bohaterski, czy kotlet cielęcy, lub murzyn, budzą w nich jednaki interes, ściśle ekonomiczny. Wszystkich i wszystko dzieli tylko na: jadalny i niejadalny.

To byłaby charakterystyka pozytywna, jest jednak i negatywna znacznie większa w stosunku do nas.

Od chwili bowiem spotkania się pierwszego człowieka z pierwszą muchą, ta druga zaczęła z nim wojnę i toczy ją do dzisiaj, ku utraceniu ludzkości. Narzekamy na muchy, zastawiamy na nie pułapki, walczymy otwarcie ręką, pałką, trucizną, siatką i... bezskutecznie.

Zdołaliśmy wybić bobry, żubry, całe narody i państwa wyginęły — a muchy trwają. Nic im nie szkodzi, padaczki tępią bydło, ludzi trapią różne epidemie i choroby, a muchom nic! ani podagra, ani neurastenia! zdrowe bestye jak słonie, a wściekłe jak tygrysy.

Nie sposób ich wytępić, ani wyewakuować. Ciekawe, jak stara panna, natrętne jak agent od ubezpieczeń, są wszędzie i zawsze, w polu i w kupie, w pokoju i w bursztynie, ciągle prowadząc przeciw nam zajadłą ofensywę; śpisz — mucha wchodzi ci do nosa, piszesz artykuł — łazi ci drobnutko po łysinie, słuchasz koncertu — wpada z hałasem do ucha — aż wreszcie ciskasz wszystko i z pianą na ustach gonisz po ścianach aż do utraty przytomności. Człowiek pogromca krokodyla i jaguara — jest wobec muchy bezsilny!...

Homerycka ta walka trwa już tysiące lat, lecz teraz musi przyjść u nas do decydującej bitwy.

Dotychczas bowiem mucha była sama, walczyła w partyzantkę, lecz obecnie sprzymierzyła się ze straszniejszymi jeszcze naszymi wrogami: wszą, pchłą, oraz cholerą, czerwonką i dyzenteryą. Ta groźna koalicja połączyła się przeciw nam. Muchy, to flota powietrzna epidemii; jak ta bomby, rzucają one w nas pociskami bakcylusowymi, ze skutkiem równie strasznym. Gdzie nie zajdzie piechota — wszą, albo nie doskoczy lekka kawaleria — pchły, tam

lotnik — mucha zaniesie zarazki, uchodząc bezkarnie czujności naszej.

Trójporozumienie muszo-pchło-wszowe, przybrawszy drobnych aliantów — bakterye epidemiczne, wypowiedziało nam wojnę na śmierć i dlatego potrzebna jest z naszej strony umiejętna i celowa defenzywa.

Rolę muchy w przenoszeniu chorób zakaźnych uważa medycyna za bardzo ważną i dla nas bodaj najgroźniejszą. We wszystkich najstraszniejszych epidemiach, jak : karbunkuł, cholera, dżuma, czerwotka, egipskie zapalenie ocz, dur brzuszny itp. są muchy przenosicielami zarazków z ognisk w dalekim promieniu. Dokonują one tego w dwójaki sposób :

Mechaniczny na łapkach, smoczku i powierzchni ciała, oraz drogą ich wydzielin. Dziwna organizacya musza pozwala im bowiem jeść spokojnie — cholerę, dżumę itp. delikatesy bez szkody na zdrowiu i cerze.

Mało na tem, ciało muchy wewnątrz i zewnątrz służy wielu złośliwym bakcyłom za wylęgarnię, gdzie z małych bakcyłusków wychowują się dorosłe bakcyłusy. Wszędobylska mucha kręci się wszędzie: na weselu i po cmentarzu, próbuje wszystkiego i zabrawszy na łapki np. w szpitalu znaczną porcyę zarazków cholerycznych, nie umywszy się! pędzi prosto do... naszej cukierni, włączając w dopijaną przez kogoś kawę z pianką. Ostrożny gość wyrzuci muchę i każe podać sobie czekoladę, ale nieuważny! — połknie muchę z pianką i — gotowa cholera!

Chodzi więc o to, by wystrzegać się teraz picia kawy z muchami, i to nie tylko kawy; całe podanie potraw, urządzenie cukierni, restauracyi itp. powinno chronić nas przed muchami.

Nie będę wyliczał sposobów walki, podniósłszy tylko obecną jej doniosłość, jako konieczną samoobronę przed epidemią,

wybuchającymi w czasach wojennych, zajmę się pokrótce drugim naszym wrogiem — pchłą.

W zoologii nosi nazwę — *pulex irritans* — i jest po mwsze najzłośliwszem stworzeniem na świecie, dlatego też podobno ma być rodzaju żeńskiego... Za jej sprawą noce Południa, a także i u nas, są niespokojne, te małe stworzonka, nieuchwytne, nienasycone, niezliczone, nieskończenie drobnutkie i niezwykle daleko skaczące, są plagą filozofów, koni, psów, kobiet i bielizny.

Jako uczestniczki „entente cordiale“ z muchami i wszami i całej wspomnianej koalicji, są tem groźniejsze, że działają w czasie, gdy muchy śpią, t. j. w nocy. Są one rezerwą much; czego nie robią w dzień muchy, kończą w nocy pchły, posiadając te same co muchy własności przenoszenia zarazy z chorych na zdrowych. A nadto walczą z nami demoralizująco: wyczerpany całodzienną walką z muchami człowiek jest denerwowany, kłuty, ssany przez pchły w nocy, a potem rzuca się na niego wytrwała piechota — wszy i ginie (człowiek!) zarażony dżumą, cholera, tyfusem, czerwona etc...

Ponury ten obraz powinien Wam, Sz. Czytelnicy, uzmysłwić niebezpieczeństwo, jakie ze strony tego trójporozumienia nam zagraża, a więc wojna! — do ostatniej pchły!...

Dosyć już much, wszów i pcheł! Weźmy się za ręce — wszyscy! na pohybel tym wrogom naszych zup, kaw i kołnierzy! do upadłego! my, albo pchły! Banzaj!

Nie damy się ciąć w najsłabsze odcinki, szarpać naszych nerwów! My, którzy wynaleźliśmy periskop, wagę osobową, kinematograf. My, którzy, (muszę przerwać, bo coś od chwili skacze mi po plecach...).

Banzaj!...

WSZYSTKO TO JUŻ BYŁO...

„Wojna tamuje, zabija życie, by tworzyć nowe“ — odczuwamy ten życiowy paradoks w całej pełni. A nawet jakby dla większego rozmachu i skoku w przyszłość obecnie cofnęliśmy się głęboko wstecz, w niejednej dziedzinie aż poza naszą erę.

To sympatyczne i istotne zbliżenie się do wieków minionych przynosi nam pociechę i korzyść, znajdujemy w historii gotowe już przykłady sposobu życia w takich czasach i dowody, że nie takie rzeczy ludzie przeżywali, a więc i my...

Jest to przekonywujące i pouczające, wogóle pedagogia wojenna jest bardzo rozległa. Przekonujemy się np., że rozwój wypadków nie jest związany z pewnymi warunkami, że nie mają one na niego wpływu, a dokonuje się on często jakby im na przekór. Nadto wskutek przewartościowania wszelkich wartości, jak ktoś nazwał wojnę, obywamy się bez wielu nawyknień i rzeczy, przedtem, zdawało się niezbędnych. O niejednych już prawie zapomnieliśmy, przy innych cofnęliśmy się do czasu początków i najprymitywniejszych ich form.

We wszystkich dziedzinach prawie da się to zauważyć, przy niektórych, najbardziej ostatnio wydoskonalonych odbyliśmy długą „podróż w czasie“ z powrotem, np. w prasie.

Ta ostatnia, będąca dotychczas na szczycie swego rozwoju, nerwowa, jak ubiegła epoka, oko, ucho i serce całego świata, pędząca naoslep do wszelkiej sensacyi, jaka się na krańcach kuli ziemskiej

zdarzyła, można, potężna, tronowładna „fama“ nowoczesna — cofnęła się do błogich czasów swych narodzin, t. j. gdy w pierwszych wiekach naszej ery była suchym oficjalnym afiszem.

Drukujemy obecnie tylko to, co nam „komunikują“, a nadto przedrukowujemy te liczne afisze, jakie co jakiś czas na murach miasta się ukazują. Wpływ afisza na dziennik jest tak wielki, że niektóre pisma zupełnie się do niego upodobiły.

Bo afisze, to teraz najpopularniejsza lektura wszystkich, z nich dowiadujemy się o wyrobie chleba, o cenach targowych, o dostępnych miejscach dla podróży, o wyrokach, o mobilizacji, o meldowaniu się, o piciu piwa, wina, nawet o poprawnym zachowaniu się na ulicy, mijaniu się na lewo, a spacerowaniu po prawej stronie chodnika.

Wszystkie najżywotniejsze sprawy i najbardziej nas dotyczące porusza afisz, groźny obecnie konkurent prasy! To też ona zagrożona w ten sposób poważnie z jednej strony, a skępowana z drugiej, broniąc swej egzystencji, dokonała szybko ewolucji powrotnej, stając się komentowanym afiszem.

W obecnej wojnie, wszystkich przeciw wszystkim, walczą ze sobą dziennik z plakatem, trzeba przyznać ze zmiennem szczęściem.

W Rzymie afisz zwyciężył, czy u nas będzie górą — czas pokaże....

A jakże było wówczas przed wiekami?...

Do końca cesarstwa afisz rzymski podawał do wiadomości rozporządzenia władz, dekrety senatu, ustawy, zawiadomienia dekuryj itp., a nadto obywatele reklamowali swą część dla panującego, dobroczyńców lub wszelkie interesa. Bywał on z różnego materiału: ryty w miedzi i marmurze dla obwieszczeń stałych; przelotnym służyły: deska pobielona lub mur, na których interesowani daną treść wypisywali. Z tych trwałszych przechowało się do naszych czasów wiele i stąd wiadomość o ważnej ich roli w życiu Rzymian, oraz dowód, co im prasę zastępowało.

Rzymianie, nie będący bynajmniej domatorami i mający dużo wolnego czasu na przechadzki po forum, zadawali się tym rodzajem niewybrednej lektury aktualnej. My stanowczo nie możemy sobie na to pozwolić, gdyż dłuższe gapienie się na afisz podlega karze, jako tamowanie ruchu publicznego, a nadto nasz nierzymski klimat grozi w trzech czwartych roku nabawieniem się co najmniej reumatyzmu.

Na pierwszy dziennik czekali ludzie kilkanaście wieków, w najpierwotniejszej postaci zjawił się on dopiero w wieku XVII jako „Gazette“ T. Renaudot'a i „Petites Affiches“ niejakiego Dugona; zwłaszcza ta druga miała głównie za cel uprzystępnić szerszemu ogółowi wygodniejsze niż na ulicy, czytanie afiszów, tak, jak to w pewnej mierze i my obecnie czynimy.

Takie są nasze styczne z zamierzchłą starożytnością rzymską i średniowieczną pomysłowością francuską, w charakterze, w formie i treści prasy dni naszych.

A nasunęły one więcej jeszcze aktualnych reminiscencyj...

W czasach rzymskich istniał wprawdzie tzw. „dziennik“, ale zanikł wraz z cesarstwem. Była to początkowo publikacya urzędowa, która na rozkaz Cesara od 59 r. przed Chr. podawała do publicznej wiadomości protokoły obrad senatu i zgromadzeń ludowych, następnie jednak August i inni odebrali im treść oficjalną, którą zastąpiły drobniejsze nowinki rzymskie, stające się wreszcie główną osnową publikacyj.

Przyczynili się do tego kolporterzy wiadomości rzymskich na prowincję. Byli to zawodowi „plotkarze“, przodkowie dzisiejszych reporterów, którzy nie cieszyli się wielkiem uznaniem, nazywani po prostu „plotkarzami“ (operarii). Rola ich podobna była raczej do obecnych plotkarzy amatorów, niżli zawodowych dziennikarzy, rozsiewali oni najfantastyczniejsze brednie w plotkach ustnych i liściach, wysyłanych „okazyami“ na prowincję. Poczta bowiem była

tylko na użytek rządu, codziennie zaś listy plotkarzy „commentarii rerum urbanarum“ wskutek swej niezbyt lojalnej treści przeważnie omijały urzędową drogę.

Cech plotkarzy miał adeptów płci obu, o kobietach zaś tej konduity mówi Juwenal, że byłyby najnieznośniejszym typem niewieścim, gdyby... nie istniały kobiety literatki...

W czasach, gdy nie było telegrafu i telefonu rozchodziły się wieści szybko, jak i obecnie, a Rzymianie nawet czcili Famę, boginię o stu ustach, co, jak mówił Wergiliusz, „stoi w dzień na szczycie najwyższego budynku i wszystko widzi, w nocy zaś przebiega całe niebiosa i wszystko opowiada. Nie spoczywa nigdy, równie ochotna szerzyć fałsz, jak prawdę głosić“.

Czasy obecne spowodowały jak widzimy, wiele analogii.

Podobnie jak w prasie tak i w dziedzinie plotkarstwa, stykamy się z późniejszym objawem we Francyi, a mianowicie w XVIII w. grąsował w Paryżu luźny cech zawodowych „nowinkarzy“, którzy, przesiadując w ogrodach publicznych w Tuillerach, Luksemburgu lub Palais Royal, opowiadali chętnym słuchania najpotworniejsze plotki polityczne z całego świata. Mieli oni ustaloną sławę kłamców, tak, że drzewo, pod którem się gromadzili, otrzymało nazwę „Arbre de Cracovie?“ (drzewo krakowskie) od „craques“, tj. kłamstw, jakie rozpuszczali.

Nasze miasto roi się obecnie od *craqueurów* (plotkarzy), nazywając się właśnie Cracovie...

„Wszystko to już było“, słusznie mówił Ben Akiba, a niezwykłe te objawy nie będą nas dziwić, ani niepokoić, gdy się z nimi oswoimy, bo „do wszystkiego można się przyzwyczaić“, jak mówił pewien karp, przewracany na patelni... tylko cierpliwości.

WŁAŚCIWY CEL WOJNY.

Najważniejszą rzeczą jest obecnie mąka, o nią, a nie o co innego toczy się wojna, kto myślał inaczej — mylił się!...

Wogóle mąka jest i była zawsze rzeczą bardzo ważną, choć zapoznaną — od dzieciństwa aż do śmierci gra w naszym życiu pierwszorzędną rolę. Zaczawszy od mączki Nestlé, zacierki itp., potem mąki ryżowej etc., spotykamy się z nią na każdym kroku.

Samo ocieranie się o nią przynosiło ludziom przyjemność i korzyść!! a ludzie „robiący w mące“, np. młynarze, handlarze, piekarze mają najmniej po dwie kamienice w śródmieściu i willę na przedmieściach; największe elegantki posługiwały się delikatnym pyłkiem mącznym dla nadania swej cerze alabastrowości.

Dopiero jednak obecna wojna wykazała wielką doniosłość mąki, a my poznawszy jej wartość, podnieśliśmy ją do znaczenia najpierwszego. O mące mówią, myślą, śnią, marzą ludzie dotąd dla niej najobojętniejsi; ona jest przedmiotem artykułów wstępnych najpoważniejszych pism, mówią o niej w parlamentach, salonach, kawiarniach, nawet w poufnych rozmowach dwojga kochających się narzeczonych — „jak się pobierzemy, to będziemy mieć dużo, dużo mąki“! albo młody człowiek, starający się o rękę posażnej panny, oświadcza rodzicom: „ja jestem dobrą partyą, mam w domu trzy! worki mąki — 00“, oczywiście zostaje przyjęty...

Ludzie cieszą się posiadaniem mąki i chlubią się jej zapasem; drukarnie nasze mają wiele zamówień na wizytówki: „p. X. Y., właściciel zapasów ewakuacyjnych i 2 worków mąki pszennej“.

Mąka jest dowodem zamożności wobec bliźnich a lojalności wobec gminy, z której nie chce się zostać wyewakuowanym.

Człowiek zażywający największego szacunku i zazdrości, to dostawca mąki — chodzi jakby w aureroli z pyłu mącznego, pokrywającego nawet najczarniejsze plamy na... rękawiczkach.

Spotkawszy się obecnie, Krakowianie nie pytają się siebie o zdrowie lub powodzenie w interesach, ale „czy ma pan (pani) już mąkę? jak ją pan umieścić i zabezpieczyć“ etc. etc.

Przy kichaniu nie życzy się teraz — na zdrowie, ale — „abyś miał dużo mąki“, najnowsze zaś przekleństwo jest „bodaj ci nulka zatechła!...“

Ja mam mąkę, ty masz mąkę, on ma mąkę, my nie mamy mąki i t. d., oto najpopularniejszy przykład naszej gramatyki wojennej.

Nastroje chwili, różne odgłosy i wieści wojenne tworzą w naszych głowach istotnie „mieszankę“, czyniąc z biednych czaszek dziurawe worki, przez które przesypują się pyłki wrażeń i udręczeń.

CYWILNA ODWAGA „CYWILA“.

O bok wielu różnych cnót, o których tu dalej będzie mowa, wojna wydobyła z nas wszystkich najpiękniejszą — odwagę. Na różne heroiczne wprost czyny zdobywają się ludzie nietylko na polach bitew, ale także i poza frontem. Zwykli „cywile“ w marynarkach (sukiennych) dokonują rzeczy, o jakich filozofom się nie śniło. Odwaga żołnierska zdobyła liczne uznania, należy też podnieść i objawy t. zw. odwagi cywilnej.

Różni się ona tem od wojskowej że objawia się tylko u t. zw. cywila, nie bywa odznaczana, a wymaga napięcia wszystkich cywilnych zmysłów i władz umysłowych i to nie przez jakiś moment walki, lecz stale, na każdym kroku, w dzień i w nocy, zawsze, a mimo to należy do cichych bohaterstw.

W każdej okoliczności wojennego życia cywil, czy to mieszkający w mieście, na wsi, „w ciaśniejszym obszarze wojennym“ czy też Hinterlandzie — znajduje się ciągle jakby w najprzedniejszym okopie frontu. Ciągle walczy i narażony jest na niebezpieczeństwa, odbywając wszelkie działania strategiczne od ofensywy do blokady, cernowania i defenzywy.

Przedewszystkiem co chwila stacza krwawe potyczki z samym sobą, dawnemi nałogami, jak jadanie obiadu, używanie mydła, sło-

dzenie kawy, dalej walczy z otoczeniem o różne rzeczy, jak gospodarzem o zaległe czynsze, wierzycielami, dostawcami zdzierającymi zeń skórę przez głowę etc. etc. Zwycięstwo nie jest tu łatwe, lecz cywil boryka się bohatersko, choć beznadziejnie.

Cywilne zaś niebezpieczeństwa czyhają na cywila wszędzie, w domu i na ulicy, w tramwaju i w polityce, w kinie i we śnie nawet, gdyż śnią mu się tak okropne rzeczy, iż czasem może się obudzić już — nieboszczykiem.

Niebezpieczeństwa te są straszniejsze od pocisków i min wojennych, wyrafinowańsze, gdyż na zewnątrz niewinnie wyglądają. Np. jako poranny szrapnel wpada do domu — dziennik i zwykle trafia celnie szefa sztabu domowego — pana lub kucharkę. Pocisk ten jest tak przedziwnie skonstruowany, że nie zostawiając śladu na ciele, niszczy odrazu substancję mózgową; ranny dostaje ostrego szału tzw. politycznego, który objawia się utratą śniadaniowego apetytu i wyjściem z otwartym parasolem w pogodę lub w samej bieliźnie na schody.

Stosowany dotychczas w danym razie zimny tusz przywraca rannemu w części przytomność, tak, że o własnych siłach może iść do biura. Zaraz jednak na ulicy, z pierwszego przyczółka kamienicznego zarzuca go gęsty ogień karabinowy plakatów i obwieszczeń. Najgorsze są tzw. kule taryfowe, są bowiem zatrute i szarpia doszczętnie żołądek i wątrobę, gorzej od dum-dum. Niektóre miny — plakaty tzw. musterunkowe paraliżują cały organizm, wywołując śmiertelną błądź szczy, marznięcie kończyn i kilkuminutowe zamarcie tętna.

Przebrnąwszy szczęśliwie te narożne zasieki, w biurze dostaje się cywil pod straszne działanie gazów trujących — plotek, jakie wytwarza każdy z kolegów z pomocą „wiarygodnych wieści od putzera

sztabowego“. Nierzadko dobija go „ogień bębniący“ nagany, którą szef obrzuca zidyociałego tem wszystkim pracownika.

Po powrocie do domu każdy trafiony zostaje w żołądek ciężkim granatem obiadu wojennego, a głębokie pchnięcie w serce „brak mi do budżetu!“ odbiera mu zupełnie spokój w „raście“ popołudniowym.

Podjazdy stróża, z przypomnieniem o cholerze, ospie, wizyta woźnego sądowego z „uznaniem“ sędziego, że należy spłacać dawno zapomniane długi itp. trapią wciąż cywila w forcie pokoju sypialnego.

Wyjdzie wieczorem na miasto, zewsząd otaczają go zasadzki np. witający się serdecznie znajomy może weń tchnąć zdradliwie — tyfus plamisty, inny znów pożyczycy kilka koron i — pójdzie jutro do landszturmu, aby nie oddać. Wszędzie zdrada i niebezpieczeństwo!

Słowem cywil walczy na wszystkich frontach swego ciała i ducha, a jeżeli ze strachu — nie odbiera sobie jeszcze życia, to tylko dzięki potęgującej się w nim odwadze cywilnej!

Warto też po wojnie obmyśleć jakieś odznaczenie dla tego niezwykłego bohaterstwa cywila, w rodzaju np. orderu „virtuti civili“, dla żonatych z koroną jeleniową!...



ECHA POZAFRONTOWE.

Z LAT 1915—1916.

EPOKA DZIECKA.

Pprzedwojenna era — wiekiem dziecka zwana, teraz dopiero weszła we właściwe stadyum. Dorośli tak się przejęli hasłami pedagogicznymi, że aż — zdziecinnieli. Ulubione zabawy dziecięce: w zbójów i żandarmów, kopanie w piasku, kradzione jaja, kotka i myszkę, wojsko, a głównie w — wojnę, są obecnie ogólną zabawą całego dorosłego świata.

Starsi bawią się tak dobrze i z takim zapałem, że wcale nie mają zamiaru skończyć. Wymyślają wciąż nowe sposoby, używając całego swego doświadczenia i fantazyi, byle tylko zabawa najlepiej się udała i trwała jak najdłużej. Są więc latawce i łódki, szabelki i armatki, koleje „prawdziwe parowe“ etc. etc.

W myśl nowych metod pedologicznych systemów Berlitz, Kruppa, Pestalozziego i Creuzot'a starsi dla celowszego wychowania nowego pokolenia udają z powodzeniem dzieci, prowadząc je niepostrzeżenie do coraz wyższego rozwoju intelektualnego i fizycznego. Trzeba przyznać, że nasze dzieci są bardzo pojętne i okazują coraz większe postępy.

Niedawno widziałem świetny wynik nowej metody: grupka dzieci bawiła się na Plantach w wojnę. Robiły to lepiej niż dawniej, inteligentnie, pomysłowo — zabawa ich rzeczywiście była interesująca. Kupa piasku była „Salonikami“, oblegali ją wyrostki, w mundurkach, ocernowawszy przedtem szczerbami i książkami. Załogę „Salonik“ stanowili czterej chłopcy bez mundurków, dziewczynka i dwa psy (dziewczynka to Francya, a psy — Anglicy, jak się dowiedziałem z okrzyków bojowych armii oblężniczej).

Po dokładnem obrzuceniu twierdzy bombami kamiennymi, które zadały liczne guzy zamkniętym, a dziewczynce zrzuciły nawet kapełusz, poszli oblegający do szturmowania koncentrycznego. Opór atakowanych podniecał szturmujących: „bij John Bulla!“, „hurra!“ krzyczeli atakujący — „weź go, pif!“ podniecali obrońcy swych czworonogich sojuszników.

Doszło do walki na pięści, liczniejsi jednak i sprawniejsi chłopcy wdarli się do noyau, mimo że załoga broniła się zażarcie na wschodnim stoku kupy. Dziarska dziewczynka objęła komendę nad chwiejącymi się już obrońcami — szybko wyjęła z piórnika ołówek i rzuciła się na wodza napastników, wbijając mu go w nos do połowy, poczem schwyciła za włosy rwiąc co siłą, tak, że jej w ręku kępka została. Dowódzca uderzył w płacz i to sprawiło popłoch wśród atakujących. Cofnęli się w nieporządku, unosząc ранnego wodza na sąsiednią ławkę. Nie odstępili jednak twierdzy, lecz podjęli systematyczną blokadę; przy pomocy piernika przekupili psy i te pilnie baczyły, aby nikt z twierdzy nie wydalił się na chodnik lub trawnik.

Próba wycieczki dwóch oblężonych, którzy spieszyli do domu na obiad przyniosła porażkę ich łydkom i spodeńkom, dziewczynka

próbowała płaczem przebłagać nieprzejednanych wrogów, ale na próżno...

Nie miałem czasu śledzić do końca tej interesującej zabawy, opisałem ją jednak dla zaznaczenia, jak to nasze dzieciaczki same z siebie rozwijają zdolności strategiczne i moralne.

Dobrze też, że nikt im nie przeszkadza...



CZEGO NAM TERAZ BRAK?...

Brak nam:

Abstynentów, agrafek, agrestu, andrutów, asbestu i — „akceptów”.
Bandaży, bawełny, batystu, befsztyków, bibuły, bułek, bryndzy,
bydła i — banknotów...

Cebuli, chleba, chustek, „cieńkich”, cukru, cykoryi, cytryn i —
centów...

Dachówek, daktyli, delikatesów, derek, „drama”, drzewa i —
„drobnych”.

Ekspresów, ementalera, emetyku, energii, eteru i — „ewikcyj”...

Fajansu, fantazyi, fasoli, fiaków, fig, flaneli i — „floty”...

Garneków, gliceryny, grochu, gumy, guzików i — grajcarów...

Handlu, herbaty, homarów, humoru i — halerzy...

Igieł, imbryków, imbiru, indyga, indyków i — indosów...

Jabłek, jagieł, jaj, jarzębiaku, juchtu i — jenów...

Kapusty, karpi, kartofli, kierunku, kiszek, koni, krów, kon-
centracji, kunerolu i — Koron.,.

Legumin, lemoniady, likierów, logiki i — „lirów”...

Masła, mandarynek, migdałów, mleka, morełówki, moresu i —
monety...

Nafty, nerek, neutralności, nugatu i — „niklu“...

Ogórków, omletów, orientacyi, owoców i — oboli...

Pieniędzy! pieniędzy! pieniędzy i pieniędzy!...

Rafinady, raków, realizmu, rolady, rozbefów, ryżu i — reńskich...

Salami, smalcu. solidarności, spodni i — srebra...

Tabaku, taktu, tanga, truflí, trzeźwości i — talarów...

Udźców, umiarkowania, uspołecznienia i — uncyj...

Wafli, wędzonki, wiktú, wódki i — waluty...

Zajęcy, zasad, ziemniaków, zrazów i — złotych...

A co mamy?... — tego się sami domyślcie...



ŚLADEM NAPOLEONA...

Zyjemy w chwili panowania powszechnej polityki, strategii, wszelkich kombinacji dyplomatycznych i wojennych, a więc i szachów. Poszło to stąd, że nieszczęsnym szachom zrobił reklamę Napoleon I, grał w nie często, choć podobno nie świetnie. To też teraz gdzie się ruszyć w Krakowie, wszędzie szachy; w domach prywatnych, kawiarni, mleczarni, restauracyi, na polu i pod dachem, — siedzą ludzie skurczeni, skupieni, spoceni, zmęczeni, wszechstronnie zmaglowani i „szach królowej, szach wieży!”.

Przeciętnego śmiertelnika, co niema w sobie nic z Napoleona, ogarnia zdumienie — czyżby istotnie tylu ludzi obecnie nie miało nic innego do roboty? Czy w chwili tak olbrzymiej katastrofy wojennej niema żadnej pracy dla ogółu, czy nie trzeba poza frontem społeczeństwu rąk i głów?

Żyjący jakby na wyspie szczęśliwości nasi szachiści przyjęli widać Hamletowską zasadę:

...Niech ryczy z bólu ranny łoś,
Zwierz zdrów przebiega knieje. —
Ktoś nie śpi, aby spać mógł ktoś...
To są zwyczajne dzieje.

Można więc i u nas być — neutralnym...

AWANS KARTOFLA.

Coraż częściej słyszy się teraz o kartoflu. Awansował z kuchni aż do polityki. Figuruje na honorowych miejscach wstępnych szpałt w najpoważniejszych dziennikach i wyparł zupełnie, tak drogą obecnie kiełbasę. Nawet termin-ziemianin przetransponowano na — kartoflarz tj. taki, co sadi, hoduje, je i ma ciągle w myślach tylko kartofle.

„Kartoflarz“ stało się miłym przymiotnikiem, a także i wyzwiskiem dla człowieka realnego, który siedziałby w ziemi jak kartofel, trzymając się jej wszystkimi korzeniami. Wiadomo, że kartofel nie lata, a także i człowiek jedzący ziemniaki nie ma lekkości motylka politycznego.

Uprawa zaś kartofla zgina ludziom barki ku ziemi, w przeciwstawieniu do smukłych plantatorów... gruszek na wierzbie.

Przyzwyczajony do dłubania w ziemi nasz wieśniak nie nadaje się na aeronautę albo gimnastyka politycznego, radby siedzieć najniżej na roli, chciałby jej mieć jak najwięcej. Kartofel jest także symbolem: jest szarym, pospolitym owocem ziemi, wymaga wiele pracy, zachodu, a bez przyprawy jadają go chyba bardzo niewybredni. Więc smakosze rzadko bywają kartoflarzami, sadzenie kartofli nie dostarcza

środków na trufle: aby jadać wykwintnie, trzeba mieć lukratywniejsze, zajęcie, np. handel en gros, dostawy itp.

Teraz kartofel doczekał się rehabilitacji. W Niemczech „tezauzuje się“ jego zapasy. W całej środkowej Europie wypchał z ogródków pałacowych tulipany. Bodajby u nas na zawsze wyparł kosztowne, a bezużyteczne kwiaty cebulkowe!

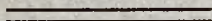
Ostatnio zastępuje nawet — mydło. Doniósł o tem interesująco jeden z dzienników, pisząc:

Dzisiaj, kiedy mydło stało się skutkiem ceny nieledwie przedmiotem zbytku, trzeba przypomnieć, że można je zastąpić ziemniakami. Oskrobiny ziemniaka, pokrajane na drobne kawałki i zmieszane z niewielką ilością wody, nadają się do mycia szklanek, karafek, słoików itp., niszcząc zastarzałe nawet plamy. Uarty surowy ziemniak, przedtem dobrze umyty, jest doskonałym środkiem do czyszczenia kolorowych materyi wełnianych i tapet. Ziemniaków można także używać w zastępstwie mydła, do prania bielizny. Ziemniaki czyszczą bieliznę lepiej, aniżeli mydło.

Niech żyje kartofel! Gdy zastąpi jeszcze mydło toaletowe i — moralne, stanie się panaceum na wiele naszych braków.

Czy wejdzie w tej nowej formie w politykę?... „Sztuka polityki jest sztuką mydlenia oczu“ rzekł jeden z naszych polityków. Inny znów nazwał ją „goleniem bez mydła“. Może więc i tej nowej rangi doczeka się wszechstronny kartofel, narazie mydło kartoflane zda się w polityce do jednej tylko funkcji:

Niech pierze!



JOZUE II.

Zeby nie wojna, obchodzilibyśmy wielką uroczystość — urodziny nowego Jozuego.

Tym razem jest on Niemcem i nazywa się p. Hermann Rese z Hameln. Od swego zaś biblijnego protoplasty tem tylko się różni, że jeszcze nie wstrzymał słońca; dodał jednak swym kompatryotom dnia! A jest to nie byle prezent — gdyż ofiarował im: 21 dni z ułamkiem, czyli 158 godzin w ciągu 5 miesięcy! Nadzwyczajne!

A zaczyna się to dnia 1 maja za sprawą przesunięcia wskazówek na wszystkich zegarach w Rzeszy — o jedną godzinę naprzód. Proste i genialne; skutek czego i słońce raniej wstaje i całe życie wcześniej rozpoczyna, odbywając się w jego blasku. Dla wstających dotychczas o świcie, wszystko jedno, bo ci zwykle mają koguty — (o ile są wieśniakami), albo zegarki — w lombardzie — (gdy są miejską biedotą). Spiochy wszędzie zaśpią, lecz ci mają przeważnie pieniądze i czas nieograniczony.

Szkody więc nikt nie poniesie, a ile korzyści! Dowiodły tego wymownie pisma niemieckie, obliczając, jak to wiele nafty, elektryczności, gazu, świec i zdrowia zaoszczędza się w „nowej porze letniej

od dnia 1-go maja do 30 września, po których znów cofnie się zegary do dawnej „średnio-europejskiej” normy.

Ważniejsza jest w tej sprawie strona moralna, ekonomiczną wyluszczyły już wspomniane dzienniki, a praktycznie zastosowano dawniej w Anglii i Francji.

Otóż p. Rese dowiódł wszystkim, że nie człowiek zegarek, ale tenże jego reguluje i, że nie wtenczas jest dzień, kiedy wskazuje na to cyferblat, ale wtedy gdy świeci słońce.

Z doniosłych wynalazków, mających na celu wyzyskanie wszystkich sił na użytek człowieka, ten jest najgenialniejszym. Najjaśniejszą ze znanych lamp i najsilniejszy reflektor — słońce — wyzyskali Niemcy, za sprawą p. Resego, na swą korzyść. To też podczas gdy inni, np. my, będziemy jeszcze spać, bo będzie szósta — oni już wstaną i podejmą pracę — bo u nich już siódma! Mała, ale jakże ważna różnica...

O słońcu myśleli inni, lecz gdy np. francuski poeta kazał dzień budzić „Chanteclair’owi” i ten jak wiadomo zasnął... zabawiwszy się z bażanicą — a słońce wstało. Podług zegarków... niemieckich o godzinę wcześniej.

To też Niemcy dobywają na Gallach, Verdun (czytaj: werden), bo śpiący wskutek zapóźnionych zegarów — jest „Mort homme” — co jak doniosły komunikaty jest w rękach niemieckich...

U nas przed innymi zdałaby się taka reforma czasu. Tak nam niejednakowo chodzą... zegarki. Jednym spóźniły się o — sto lat, drugim aż o trzysta, innym znów pospieszyły o rok lub nawet więcej...

Na razie słońce nam jeszcze nie weszło. Uregulujmy bodaj godziny nocy, abyśmy nie zasnęli wschodu...

NADZWYCZAJNY DODATEK.

Jedną z atrakcyj poza frontem jest, a raczej był do niedawna i będzie jeszcze prawdopodobnie — dodatek „nadzwyczajny“; w czasie pokoju rzadki gość, chyba w świątecznych chwilach wyborów, lub katastrofy Tytanika.

Przedstawia się on następująco: Nadzwyczajny dodatek, niezwykłe, nieregularne wydanie dziennika, ukazujące się regularnie codziennie, w niedzielę i święta dwukrotnie. Nadzwyczajny dodatek składa się z jednej kartki dziennika, zadrukowanej po jednej stronie, a czystej po drugiej. W czytaniu różnice te zacierają się — przeważnie obie strony mają jednaką wartość informacyjną. Nadzwyczajny dodatek poprzedza albo uzupełnia wieczorne wydanie dziennika, drobne ich wieści z malutkiej formy petitu i borgisu, rozmazując cicerem, tekstem itp. na całej przestrzeni arkusza. Wielkimi czcionkami drukowane wiadomości zdobią jeszcze większe tytuły. Patryoci czytają tylko tytuły, z nich bowiem dowiadują się o wielkich zwycięstwach swoich, a klęskach nieprzyjaciół, większych nawet od tych,

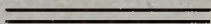
jakie opisują same wiadomości. Jeszcze lepiej jest jednak poprzestać na wysłuchaniu okrzyków kolporterów, ci głoszą większe jeszcze zwycięstwa, niż mówią o nich nawet tytuły dodatków. Nadzwyczajny dodatek kosztuje tylko 10 hal, sztuka, z czego zaledwie 8 idzie na rzecz wydawców za ich trudy i uczucia patryotyzmu. Kupując dodatek, popieramy nie tylko przemysł krajowy, ale także dowcip, pomysłowość i plotkę — wszystko krajowe.

Wiadomości dzienników mają wartość dwóch do trzech godzin, zaś dodatek jeszcze po pięciu, a nawet dziesięciu godzinach sprzedawany jest i kupowany z tą samą intensywnością. Nadzwyczajny dodatek jest cały dzień aktualny, jest dziełem jednolitem i po roku bywa także interesujący, nawet jeszcze bardziej... Dawniej nadzwyczajne dodatki wrywano sobie wprost z rąk, obecnie znacznie złagodnieliśmy, każdy po nabyciu i spojrzeniu na treść, wypuszcza go z ręki, albo spokojnie składa do... domowego archiwum. Nadzwyczajne dodatki przyczyniają się świetnie do ożywienia obrazu ulicy; wykrzyki kolporterów dodają do stałej symfonii ulicznej dzwonków tramwajowych i syren, trąb itp. samochodowych, dźwięki wokalne o charakterze perkusyjnym. Według stałych godzin ukazywania się dodatków, zwłaszcza w początkach, wojny można było regulować zegarki i całą higienę domową.

Największą zasługą nadzwyczajnych dodatków jest, że przyczyniają się do uspokojenia opinii publicznej. Najpłochliwsi i najbardziej nerwowi, słysząc okrzyk: „dodatek!“ uspakajają się natychmiast, upewnieni, iż nic się nadzwyczajnego nie stało. Dzień, w którym nie ukazał się żaden dodatek, napełnia wszystkich niepokojem, że „coś się dzieje“... Nadto dodatek ważny jest jako czynnik społeczny i pedagogiczny: dzieci uliczne zbierając porzucone arkusze, wtykają je później w ręce gościom w kawiarniach i restauracjach. W ten

sposób za młodu poznają one istotę handlu i uczą się na sobie pracować. Wielu z gości daje małym kolporterom pewne naddatki i w ten sposób pośrednio wzrasta jeszcze bardziej wartość dodatków.

Rola dodatku jest w wielu dziedzinach bardzo ważna, najważniejsza jest jednak, że oducza ludzi... ciekawości i przekonuje dobitnie o marności utworów ludzkich.



NAJWYŻSZE UZNANIE.

D oczekaliśmy się (my! za przeproszeniem — dzienniki) oficjalnego uznania i stwierdzenia potrzeby gazety, wypełnionej tekstem, a nie białem polem, Od czasów bowiem Napoleona I, który prasę nazwał piątą potęgą, potrzebę istnienia dzienników najgoręcej uznawały kucharki, sklepikarze, (makulaturę), czasem nawet pan radca, umieszczając inserat „o mało używanej otomanie tanio do sprzedania“ — i — już“!

Szanujący się człowiek czytał dzienniki, wymyślał na nie, ale od — uznania, rozumie się, był daleki. Aż oto przychodzi nam najwyższa, bo urzędowa pochwała, że gazeta może się na coś przydać. Stwierdził to sąd karny w Osnabrucku.

Przed sądem tamtejszym stawali dwaj wieśniacy z jakiejś wioszczyny westfalskiej, oskarżeni o przekroczenie rozporządzenia o konfiskacie wełny; dowiedziono im bowiem, że jeden drugiemu sprzedał kilka funtów. Oskarżeni tłumaczyli się, że nie znali rozporządzenia, gdyż nie czytują żadnej gazety, i udowodnili to!...

Sąd przyjął do wiadomości ich obronę, ale mimo to, jak doniosły pisma berlińskie: „każdego skazał na dzień aresztu, wychodząc z założenia, że kto w obecnych czasach nie czytuje dziennika, postępuje lekkomyślnie i nie może powoływać się przy zarządzeniach wojennych na nieświadomość“.

Jestto prawie nakaz czytania dzienników pod karą aresztu, a dla dzienników pierwsze od wieku — uznanie oficjalne.



GAZY DUSZACE.

Na palaczy i ich najbliższe otoczenie padł czad. Cygara i tytoń nasze są coraz gorsze, tak gorsze, że od samego ich dymu dostają kataru muchy i pluskwy domowe, a w tych dniach zdarzył się nadzwyczajny wypadek: pewien rutynowany palacz cygar Virginia — zaczął dziać śmiertelnie od własnego cygara. I to nie tylko cygara, ale też i tytoń, nawet najdroższe gatunki, zepsuły się jakoś ostatnio, tak, że zapach ich przypomina czasem opar przypalonych kaloszy, tłącego się sukna lub kości — jest zawiesiście-aromatyczny.

Jakie rośliny wchodzi w skład obecnych tytoniów i cygar, zostanie tajemnicą fabryk, lecz kilku przygodnych palaczy o czułym węchu i wolnym czasie, dowąchało się podobno kapusty, kartofli a nawet siana. Czy to prawda, trudno orzec, lecz, że tłący się papieros nierzadko wydaje podejrzany śwęd, jest pewne i godne skonstatowania.

Stwierdzając ten smutny stan, pozwolę sobie podać radę dla palaczy cygar — jak, najlepiej postępować z obecnymi sortami, a więc: żąda się w sklepie dużego wyboru i szuka długo i sumiennie: suchych, centkowanych, żółtych — potem odwiązuje się w domu zapakowanie, rozkłada w suchym miejscu, w cieniu np. na szafie, nie ruszając, by leżały spokojnie przez dwa dni i trzy noce, a następnie

— wyrzuca za okno...

FAŁSZYWE ALARMY.

Stanowczo mamy dobre serce, obok rozumie się innych zalet, choćby indywidualizacji. Wystarczy słowo, słówko, — frazes, a już ludzie skupiają się, organizują, piszą i mówią, mówią i piszą. Gdzieś indziej nadzwyczajne momenty tworzą pieśni — my jesteśmy poważniejsi, nie śpiewamy, ale piszemy i dyskutujemy.

Chęci do pracy społecznej nie brak, rąk i rączek zjawia się coraz więcej — a wszystkie przejęte doniosłością chwili, wielkimi wypadkami, znajdującymi odzew, nawet tam, gdzieby się tego nikt nie spodziewał. Zapał ten mógłby „tworzyć cudy“ — gdyby nie nasza indywidualność, ona to rozproszkowuje najszlachetniejsze wysiłki, wydając dziwolągi — a szkoda! Setki komunikatów, odezw, apelów itp. zamieszczanych przez pisma są zwierciadłem bezpotrzebnego używania armaty na wróble tj. wielkich słów do małej treści i schodzenia najlepszych intencji na ugór bezpłodności. Oto kilka przykładów:

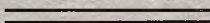
„Wobec okropnej zawieruchy wojennej, morza krwi i łez, zawiązało się wśród tutejszych pań Tow. haftowania kaftaników trykotowych, dla chorych na nerki „flüchtlingów“ i — apeluje do ofiarności publicznej...”

albo — „Zniszczenie naszego kraju, pożoga straszliwej wojny skłoniła — ochotnicze Tow. wytwarzania gazów duszących do zbierania cygar Cuba dla zubożałych palaczy — przyjmujemy datki w naturze i w pieniądzech“...

lub — „Klęska wojny jest tak straszna, że i nasz Związek zwolenniczek bluzek Kimono, postanowił gotowe już formy nowych kostyumów ofiarować na rzecz słomianych wdów i zaniedbanych panien“....

lub wreszcie: „Wojna obecna, z całą swą bezwzględnością i aparatem naukowym prowadzona, wysunęła problemy higieniczne, to też Stow. zwolenników spania na prawym boku, postanowiło wydać broszurkę o tem i rozesłać ją do wszystkich armii — i prosi społeczeństwo o poparcie w tym szczytnym zamiarze“...

Czegoby to można dokonać z tylu dobremitencyami, zestrze-
liwszy „serca w jedno ognisko i w jedno ognisko duchy“... — a tak
psujemy tylko papier — i powietrze...



WIELKANOCNE ŻYCZENIA W R. 1916.

W roku okropności i drożyzny trudno jest życzyć, lecz jedno powinszowanie dla wszystkich jest odpowiednie. Oto — życzę Wam, Szan. Prenumeratorzy stali i zniżkowi, Czytelnicy i Czytelniczki, Subabonenci, Sympatycy i Malkontenci — abyście w czasie tych świąt, bodaj raz — zaśmiali się, szczerze, swobodnie.

Choćbyście na święcone mieli jedno tylko jajko i samą kartę chlebową, możecie je sobie osłodzić i uprzyjemnić, zaśmiawszy się z głębi serca i pustego żołądka. To was pokrzepi duchowo i cieleśnie, czyniąc panami rzeczywistości — ludźmi.

Czemże bowiem różni się człowiek od drzewa, worka węgla, magistratu, nieboszczyka, karabinu maszynowego?? — tem, że się śmieje. Koń nawet śmieje się czasem — w przysłowiu, — a krokodyl płacze ze śmiechu — u Kiplinga.

Choć raz, choć mały razik!

Na śmiech niema jeszcze podatku, ani taryfy maksymalnej; dostępny jest wszystkim, a w święta konieczny, byście nie przebyli ich jak bohater jednej z powieści mojego przyjaciela, co przez całe święta wisiał na swych szelkach, (bohater! — nie przyjaciel).

Nieprawdą jest jakoby śmiech był oznaką pustoty i wykluczał powagę; człowiek, który śmiać się nie umie, jest beznadziejny!

Śmiech jest najtańszym przekładańcem tegorocznego święconego; słodszy, od wojennego serowca, ułatwi Wam strawienie wojennych placków, a co najważniejsza — nic nie kosztuje!

Z braku powodu do śmiechu, zaśmiejcie się dla niego samego, bo śmiech jest wytchnieniem umysłu, niedzielą mózgu, spiralnym wzlotem nad „padół“, szrapnelem zdrowia.

Można utracić nogę, rękę, kamienicę, narzeczoną, apetyt, ale gdy śmiech nam zostanie jeszcześmy nie zupełnie straceni dla świata.

Polska, Rejowska dusza niechaj się w Was rozprostuje, bodaj na jedną chwilę świąteczną, a Zmartwychwstanie, które teraz obchodzicie żywszem Wam będzie i bliższem...



ORĘDZIE DO P. T. PIEKARZY.

Panowie piekarze! koncesyonowani majstrzy, czeladnicy, pomocnicy i praktykanci — zlitujcie się! i przestańcie wypiekać tę okropność, którą ktoś bardzo złośliwy chlebem wojennym nazwał. Wiadomo, że „chleb wojenny“ nie może i nie jest „lekki“, ani deserowy, lecz to, co obecnie jeść nam każecie, gotowem jest przyprawić o niestrawność hipopotama, mającego sławny z odporności żołądek.

Panowie piekarze! — Czyżby kombinacya mąk: pszennej, żytniej, kukurudzianej i jęczmiennej z kartoflami i drożdżami — nie dała się odłączyć od mąk — jakie muszą cierpieć konsumenci.

Panowie piekarze! w obecnym chlebie znajdują ludzie wszystko: piasek, popiół, otręby, szpagat i inne ingrediencye, tylko brak mu smaku i własności pożywnych.

Panowie piekarze! skróćcie nasze tortury, błagamy was w imieniu naszych zębów, kiszek i żołądków, uczynicie im dolę znośniejszą, niech im wasz cenny produkt — lżejszym będzie!

Panowie piekarze! zaprzestańcie nieszlachetnej wojny z biednymi chlebożercami. Rozbiliście nasze flanki — kieszenie, nie rozbijajcie nam przynajmniej centrum — żołądka.

Panowie piekarze! — pamiętajcie, że atak na nasze „centrum“ jest nieludzki. Można żyć „bez głowy“, „bez serca“, bez rąk i nóg, ale bez żołądka nie! Człowiek bez żołądka — to armia bez trenu, to piekarz bez — kamienicy!

Panowie piekarze! — polepszcie wyrób chleba, bo obecnie łatwiej strawić pocisk grubej Berty, niż kromkę chleba wojennego.

Panowie piekarze! — może was wzruszy wieść, że w tutejszych zakładach kamieniarskich zamówiono już kilkaset nagrobków z napisami:

„X. Y. Z. — w sile wieku zginął od... chleba wojennego“.
Nie róbcie nam krzywdy!!!

SUKCES CHIRURGII.

Najwięcej na wojnie zyskała chirurgia, awansowała odrazu do sztabu w medycynie. Czego ona teraz nie dokazuje: złożyła na stół kawałki pięty, dwa kolana, kilka żeber, jedną zdrową rękę, obojczyk i część głowy — tu przytną, tam dosztukują, tu „wytrepanują“, tam „zaamputują“ — potem włożą to wszystko do t. zw. „ekstenzyi“ i za parę miesięcy z pod bandażu wykłuwa się zdrowy człowiek. Czasem mu tylko czegoś brak, ale nigdy niczego nie ma za dużo, słowem cuda!

Mam przyjaciela chirurga, opowiada mi o tem godzinami. Pokazywał mi różności, np. ludzi wiszących w powietrzu przez trzy miesiące, nogi pozlepiane istotnie dziwnie, incyzycye etc., w tych dniach jednak przekonał mnie o cudowności chirurgii.

Było tak: zjadłem wojenną kolację tj. kawałek wojennego chleba z kawałkiem wojennej kiełbasy i wypilem wojennej herbaty z wojennem mlekiem, osłodzonej wojennym cukrem, i zachorowałem.

Przyszedł przyjaciel-chirurg, przygniótł mi żołądek, że ujrzałem przyszłoroczną taryfę maksymalną i orzekł, że jestem chory. Po-

dobno wrzód, może w żołądku lub kiszkach, wogóle gdzieś w środku. Wszędzie bowiem gdzie mnie dotknął, jeżeli nie zaraz, to po chwili czułem ból, jakby mi już tam wsadził nożyczki.

— To jest drobnostka — oświadczył po badaniu — ale trzeba troszkę wypompować i ewentualnie przeciąć.

— Co? — zrobiło mi się nagle gorąco...

— A tak, cóż się dziwisz? inaczej trudno wleźć w ciebie.

— Hm??!!

— Pompowanie głupstwo — ciągnął spokojnie — zaledwie trzy razy, potem może się nawet obyć bez większej operacyi. To „bardzo ładny wypadek“. Mam teraz same postrzały; kiszki i żołądek są bardziej interesujące.

I dla dodania mi otuchy zaczął opowiadać o swych ostatnich „ładnych kawałkach“, tj. o wydobyciu kuli z pachwiny, amputacyi całej ręki, wstawieniu szczęki — a ja zdrętwiały zauważyłem me nogi, najpierw jedną, potem drugą, wychodzące solo z pod kołdry, potem ręce, też każdą osobno, wreszcie tułów i — o dziwo! cały wyskoczyłem z łóżka. Wszystko było na swem miejscu, a co najdziwniejsze, poczułem się od razu zdrów.

Jakich to cudów dokonuje teraz chirurgia...



MORATORYUM.

Są słowa, które mówią więcej, niż najrozwicklejsze wywody, które w skondensowanej treści mieszczą całe światy pojęć. Jedno z takich, choć obcego pochodzenia i niedawno do nas przybyłe, zadomowiło się tak, że wprost trudno sobie wyobrazić jego zniknięcie. Jest popularne jak — „co słychać“ — zagaja rozmowy uliczne, kawiarniane, salonowe, towarzyskie, małżeńskie. Nawet o pogodzie, o wojnie przestali mówić; wystarczy, by ktoś rzucił to słówko, a na ulicy, w największym ruchu staje tłum, rosnąc z każdą chwilą i mówi, mówią, jedni rzewnie, inni gniewnie, a wszyscy żywo, serdecznie, długo, dobitnie, nierzadko klnąc lub wzdychając naprzemian.

Słowo to — moratoryum.

Osnuła je już cała literatura, a jeden z filologów utworzył specjalny podręcznik dyalektu moratoryjnego ze słowniczkiem i rozmówkami. Przytaczamy z nich kilka.

I tak: moratoryum — jest to zwłoka w płaceniu długów; moratoria — zwłoki wierzycieli zmarłych wskutek przelania się

zółci; mortus — dłużnik po zniesieniu moratorium; morajne — człowiek który utył wskutek moratorium; morus, morowy — ten który zaciągnął kilka nowych pożyczek przed moratorium itp.

Z rozmówek najcharakterystyczniejszym jest powitanie :

— Witam Wnego Pana Radcę, widzę, że moratorium wpływa moratoryjnie na zdrowie Wnego Pana, wygląda Pan jak moratoryjnik w pełni moratoryjności, życzę obu immorttalności...



NADLOJALNOŚĆ.

Ze wszystkich zalet i wad naszego życia, jakie obecne czasy wykazały i uwypukliły, najjaśniej wybiła się na jaw i błyszczyci wciãż — cnota lojalności. Lojalność naszą doprowadziliśmy do najwyższej potęgi, tworząc na przyszłość spiżowy wzór, a Krakowowi pomnik w aktach administracyi.

Wszystko robimy „za pozwoleniem“, na wszystko wyrabiamy sobie legitymacye — słowem, eden porządku i lojalności.

Współczesny Krakowianin składa się z duszy, ciała i legitymacyj; duszę ma niejeden „na ramieniu“ lub na odlocie, ciało wątłe lub nieprzyzwoicie obfite, lecz legitymacye wszyscy mamy solidne, kilkakrotnie stwierdzone, stemplowane. Można się teraz raczej duszy zaprzeć — legitymacyi nigdy!...

Charakterystycznym przejawem tej nadlojalności jest powstały niedawno i potęgujący się wciãż chwalebny zwyczaj gromadzenia przez Krakowian wszelkich możliwych legitymacyj, poświadczeń, pozwoleń etc. etc.

Mimo tłumaczeń władz, iż życie, ruch i oddanie się interesom wewnątrz twierdzy nie jest niczem krępowane, ludzie zaopatrują się masowo w świadectwa, paszporty i t. p. twierdząc, że „zawsze to lepiej mieć czarno na białem“, albo na niebieskiem, czerwonym (bo różnych kolorów bywają blankiety świadectw).

Przeciętny Krakowianin nosi teraz przy sobie najmniej kilka świadectw i legitymacyj, jak: metryka, świadectwo szczepienia ospy, maturalne (nb. o ile ma!) akt zejścia rodziców i bliższych krewnych, fotografie; wielu ma paszporty na zagranicę, poświadczenia z biur gdzie pracuje, karty członkowskie stow. np. Arcybractwa cichej śmierci, klubu automobilistów, etc. etc. Portfel Krakowianina sprawia wrażenie raczej walizki człowieka, wybierającego się w półroczną podróż.

Instytucją gdzie nasza lojalność znajdowała przez półtora roku ujście, była Komenda twierdzy. — Nieszczęśliwy urzędnik od legitymacyj załatwiać musiał codziennie stosy podań piśmiennych i setki ustnych prośb, nie próbując już nawet tłumaczyć „lojalnym“ obywatelom braku potrzeby żądanych legitymacyj. Petenci byli rozmaici. N. p.: jeden prosi o wystawienie mu pozwolenia na chodzenie z Podgórza do Krakowa, lub odwrotnie, drugi chce tegoż na odbywanie spaceru wieczorem po linii A—B, inny chciał mieć świadectwo na pójście do kąpieli, jeszcze inny na ostrzyżenie się i kupienie sobie nowej brzytwy i t. p. Czyjeś słowa „a ja mam pozwolenie pójścia na dworzec“, sprowadzało do biura Komendy kilkadziesiąt jego znajomych, tłumaczących swą chęć uzyskania podobnego świadectwa przewidywaniem „na wszelki wypadek“.

Wymagana zaś w urzędach fotografia dla stwierdzania tożsamości osoby wywołała drugi znów nałóg — masowego uwieczniania się na kliszy. Takiego powodzenia nie miały nigdy nasze atteliers,

jak na wiosnę 1915 r. Fotografował się cały Kraków, najbrzydsze nawet panny robiły słodkie miny do obiektywu, przybierając najlojalniejsze pozycje. Całe rodziny z niańkami, kucharkami, stróżami, niemowlętami, sublokatorami potworzyły sobie piękne grupy pamiątkowe z owych niezwykłych dni. Niejeden dopiero z nieudanej fotografii dowiadywał się jak jest „przystojny i.. podobny do Napoleona“.

Po wojnie miło nam będzie przeglądać te dowody naszej lojalności i fotografii; będą to trwałe pamiątki, bo wiadomo, że człowiek umrze a zostanie... fotografia i legitymacja.



POKOJOWE HOROSKOPY.

Znużenie wojną objawia się najjaskrawiej u ludzi, którzy na niej nie byli. Mnożą się różne kabalistyczne wywody, dzikie kombinacje liczbowe, astronomiczne, słowne, somnambuliczne, statystyczne, mistyczne itp. o dacie zakończenia światowych zapasów. Daty te mają to do siebie, co przepowiednie Falba, w oznaczonym na **p.** dniu dzieje się właśnie przeciwnie.

Mino jednak, że zawiodły już liczne przepowiednie, z których pierwsza pojawiła się na drugi dzień wojny i zapowiadała ją — na dwa miesiące, oraz szeregu innych coraz to „pewniejszych“, umieszcza je raz po raz prasa całego świata w myśl maksymy mundus vult decipi...

Pewien dziennik podał dowcipny logogryf, ustalając pożądaną datę w następujący sposób: należy z końcowych liter wodzów angielskich ułożyć francuską nazwę miesiąca, a ogólna liczba dzieci niezżywo wówczas urodzonych — oznaczy dokładnie dzień — zawarcia pokoju...

Wszystkie te przepowiednie natchnęły i mnie do wykalkulowania niezwykle skombinowanej metody oznaczenia daty końca wojny.

Jest ona dość trudna, lecz za to zupełnie pewna, gdyż brałem pod uwagę wszelkie możliwe okoliczności i względy: polityczne, historyczne, ekonomiczne, sanitarne, moralne i kulinarne — otóż:

Należy datę wstąpienia na tron Nikity czarnogórskiego, pomnożoną przez rok urodzin b. króla portugalskiego Emanuela, dodać do lat wieku Mikada japońskiego, odjętych od miary w pasie żony W. Ks. Mikołaja Mikołajewicza a podzieliwszy to przez sumę cen ostatniej taryfy maksymalnej Krakowa — otrzymamy niezbitą datę zawarcia pokoju.

Kto ma czas wolny i ochotę, łatwo przedstawi ją cyfrowo — i zobaczy, jak to już niedaleko...



KARTA CHLEBOWA.

Karta chlebowa podzielała na chleb podobnie, jak taryfa maksymalna na inne produkty. Z chwilą gdy się ukazała, chleb gdzieś zniknął. Wielu też osobom pozostają nieużyte karty. Pozwolę sobie więc dać im kilka rad — co można zrobić ze starej karty chlebowej.

Jest ona bowiem najświeższą i oryginalną przyprawą wojenną, mającą obszerne i wielostronne zastosowanie, o czem nie wszystkim wiadomo.

Zastępuje ona doskonale mięso, masło, jajka, nawet sam chleb. Gdy bowiem pojawiła się, znikły z handlów wszystkie produkty, łącznie z mąką i chlebem. Człowiek o największym apetycie, gdy siądzie sobie spokojnie w kącie i zacznie dodawać, odejmować, dzielić i mnożyć wydrukowane na niej liczby — odechce mu się całkiem jeść, już po pierwszych trzech godzinach.

A dalej: iloczyn jej liczb, podzielony przez ich iloraz, dodany do sumy, może wreszcie postawiony na loteryi spożywczej przedświątecznej wygrać nawet — bochenek chleba, lub coś podobnie kosztownego.

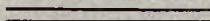
Karta chlebowa dodana do rosółu, czyni go zawiesistym i świetnie ubarwia aniliną, dalej karty chlebowej można używać do placków, strucli i babek, oraz do kiełbasy, jako opakowanie, dodające jej prawdziwego smaku.

Zapalone od karty Trabuco uzyskuje smak i woń prawdziwego Henri Clay, lub Flor di Cuba.

Zjedzona nawet sama, bez przysmażki karta nie zamula żołądka, a zaspakaja na dwa lata apetyt — na nią. Nie wymaga lodowni ani spiżarni, można ją przechowywać nawet w kieszeni tylnej na portfel.

Kilka lub kilkanaście starych kart chlebowych może, w braku czego innego, doskonale służyć do podpałki w piecu, albo na zwitki do papilotów.

Innych zaś sposobów użycia, gotów jestem udzielić każdemu ustnie...



MOJA AKADEMIA.

Czego, jak czego, ale oszczędności nauczymy się na p! Doskonała i umiejętnie prowadzona szkoła drożyzny oducza nas wielu rzekomych potrzeb, zmiana warunków usunęła dużo ekstrawagancji, moratorium oszczędza niepotrzebnych wydatków na długi, mnóstwo rzeczy mamy darmo: kolej — jako uchodźca, szczepionkę, kartę chlebową, spacer na Plantach, deszcz, pogodę, wyrwanie zęba na Pogotowiu, etc. etc.

Gdy się pomyśli, że spożywając jeden mały obiad: zjada się 19 K 80 hal., wypija 4 K 15 hal., wypala 2 K 5 hal., a następnie trzeba jeszcze wydać 25 K na lekarza i aptekę, by ratować się od zatrucia i zaccadzenia, ewentualnie poddać natychmiastowej operacji ślepej kiszki — kupuje się dwie wykałaczki za 40 hal. i idzie na Planty. Powietrze bowiem jest cudowne, wpływa dobrze na cerę, czyści głos i jest stosunkowo tanie. Płacąc podatki: osobisto-dochodowy, zarobkowy, rentowy, domowo-czynszowy, pensyjny itp., każdy ma do niego prawo. Od złotych myśli, jakie przychodzą na Plantach nie płaci się podatku, a są pokrzepiające.

Widzi się tyle pouczających rzeczy, np. bezmodzie. Największe elegantki i eleganci chodzą w kostymach zeszłorocznych, znać rzewną prostotę, wielu widzi się nawet boso i bez rękawiczek. Człowiek siada na gratisowej ławce (krzeselko jest płatne!) myśli i uczy się. Im mniej ma w żołądku, tem więcej myśli i więcej się uczy. Po wstępnym kursie lekkiej obecnie głodówki otwieram (ja!) wyższą „akademię bezjedzeniową“; nauka rozpoczynać się będzie każdego pierwszego. Wykłady o lizaniu cukru przez szybę, o pożywnem myśleniu, o niestrawności wskutek przekarmienia itp. objęli sympatycznie znani głodomorzy literaci, do laboratorium sprowadziłem już magiel parowy i przyrządy sztucznego odżywiania sześciu ludzi jednym ziarkiem maku. Bliższe szczegóły doniosą plakaty.

Ileż to zaoszczędzimy, oduczywszy się jeść?...



APOLOGIA APETYTU.

Apetyt — jest to substancja nie mająca dokładnej definicji; mimo że mówi się ciągle o nim, nikt nie umie go określić. Omawiali go różni różnie, np. fizyk nazywał apetyt — energią żołądkową, koncentryczną, regulującą się odśrodkowo; liryk — tęsknotą kiszek do błogostanu pełni; dziennikarz — sensacją języka i przełyku; pan radca jedynym rozsądnym celem życia nb. obok snu. Zwyczajny człowiek mówił tylko: zjadłbym to i to. I zjadał to i to, i jeszcze tamto.

Tak było dotychczas, obecnie zmieniło się całkowicie. Dowiedzieliśmy się, jak doniosłą istotnie rolę grał u nas apetyt. Była to poezja konsumpcji, symfonia wzroku i smaku, filozofia pokarmu. — A myśmy go niedoceniali, jedząc i tylko jedząc. Dopiero teraz dowiedzieliśmy się, czym był, gdy coraz więcej rzeczy z talerza, garnka, miski i myśli przeniosło się do abstrakcji, gdy zadowolenie, zachcianki apetytowej lub nawet głodu samego, spowodować może bankructwo posiadacza krocioowego majątku; gdy miejsce małmazji zajmuje mamałyga, gdy nektarem zda się siwe (feldgrau) mleko magistrackie — poznaliśmy wreszcie apetyt. Teraz więc może otrzymać on definicję — jako „bólów ból“ n. b. pustego żołądka.

REHABILITACYA PAPIERU.

Jeszcze jedna nowalia wojenna: papier podrożał i to o 150 prc.! Jest to jeden z dodatnich skutków wojny, rehabilitacya dawno się papierowi należała. Pomiatany, lekceważony, cięty, mięty, piłowany, smarowany etc. etc., teraz nabierze poszanowania.

Do czego bowiem nie używano dotychczas papieru?

Każdy, mający wolny czas, ołówek pod ręką i „wrodzone zdolności“ tępił cierpliwy papier, wypisując niestworzone rzeczy i co gorsza, ofiarował je czasem „bezinteresownie“ do druku. Gnębili się referenci redakcyj od cudzych bazgrot, klęli zecerzy, korektorzy. Jedni czytelnicy, cierpliwi jak papier, wzruszali ramionami, dziwiąc się rozrzutności wydawców i potulności farby drukarskiej.

Teraz to ustanie, drogi papier do ważnych celów będzie używany. Dzięki papierowi zyskują też na wartości pisma. Płacąc więcej za numer, wyżej go będzie cenił czytelnik; ta sama wiadomość, droższa o 3 hal. nabierze więcej wagi, a co najważniejsze, na grafomanów przyjdzie poskromienie. Stanowczo: „niema złego, coby na dobre nie wyszło“...

BLOKADA REDAKCYJ.

Blokadzie mogą uleść nie tylko wybrzeża i porty, ale także i „obiekty” cywilne, jak n. p. redakcye. Jak wiadomo, blokada może być: efektywna i papierowa, i w tych też postaciach z terenów morskich przeniosła się na ląd redakcyjny. Przeprowadzają ją grafomani, łącząc przedziwnie oba sposoby.

Blokują oni efektywnie i dosłownie papierowo: kosze, biurka, szafy i piece redakcyi z uporem angielskim, z większą jednak skutecznością. Niema szarży, broni, części uzbrojenia, wszelkich komunałów wojennych, wszystkich możliwych odmian sentymentu wojennego, pozafrontowego, wreszcie nawet spraw politycznych i t. p., by niestrudzone pióra grafomańskie nie opiewały ich rymem, nowelą, tasiemcem artykułów, odezw, wzmianek, manifestów etc. etc.

Nie pomaga drożyzna papieru, atramentu, kortu na inexprimable, ani rozpaczliwa obrona redakcyi przy pomocy 102 cm. moździerzy kosзовych. Waleczne szeregi grafomańskie zasypują okopy redakcyi huraganowym ogniem swych kałamarzy, posługując się nawet duszącymi gazami swej twórczości.

Lekkie oddziały kawaleryi: poeci i panienki różnego wieku, powołania i ortografii, niepokoją stale redakcyjne patrole tj. referentów, wyczerpanych już do ostateczności. Silniejsze kolumny, tzw. pisarzy poważniejszych, którym po obiedzie przychodzą różne genialne pomysły, jak: podział Europy, sprawa murzyńska w Szwajcaryi lub inne mniej lub więcej cenzuralne rewelacye, docierają do noyau Redakcyi, t. j. do samego redaktora. Przy pomocy wyrafinowanego wiercenia mu dziury w brzuchu, lub w skombinowanym ataku przy użyciu posiłków z wszelkich protekcyj, starają się wymusić umieszczenie swych utworów.

Nawet zasieki schodowe (2 piętro na wysokości 90 schodów o 70° nachyleniu) i rozmyślna na nich ciemność itp., nie pomagają. Codziennie nowe zjawiają się szeregi, lub torba listonosza wysypuje setkami bomby lotnicze autorów. Takiej ofensywy twórczości atramentowej nie pamiętają najstarsze u nas piece.

WOJNA U PODSTAW.

Nikommu, nawet wierzycielowi nie życzę — aby znalazł się w potrzebie kupna bucików; jest to obecnie katastrofą, która rujnuje na długi czas nawet Rotszylda. Wojna, wywracająca wszelkie wartości, uczyniła też wielki przewrót w ważnej dziedzinie bucianej. Łatwiej teraz tanio kupić wieś, kamienicę, dwa łabędzie miejskie, sztuczną nogę, lub gramofon — niżli parę bucików. Cena obuwia bowiem doszła do niebotycznych wysokości, poniżej 60 K nie zstępując, a nie należy do wyjątków okrągła sumka 90 i 140 K za — parę lepszych podeszew z jakątąką cholewką.

Trudno zaiste żyć teraz, gdy tak podstawowe w istocie rzeczy drożeją skandalicznie; wyekspensowawszy się na buty, nie ma się na mąkę; kupiwszy mąkę, nie sposób marzyć o palcie — połatawszy zaś wszystkie potrzeby popadasz w konflikt z urzędem podatkowym, który zabiera ci poduszkę i marynarkę.

Kto potrafi wybrnąć z tej matni — szczęśliwy, i jest chyba wielkim artystą życiowym lub — nieboszczykiem, używającym przeważnie pantofli... Dopóki jednak żyjemy, zagadnienie buciane należy do problemów najdonioślejszych. Odzwyczailiśmy się bowiem przez

wieki od chodzenia boso, a zdaje się trzeba będzie powrócić do tej bezobcasowej sielanki.

Skór jednak powinno być dosyć, skoro ktoś ciągle bierze „po skórze“, z nas zaś „drą pasy“ kupcy i szewcy, mimo to jednak, zamiast butów mają oni coraz większą butę, obuwie zaś jest coraz rzadsze i droższe, wskutek czego powstało nowe przysłowie:

„...jest to sztuka nad sztukami
mieć „zelówki“ pod butami“.

JAK SIĘ ROBI OPONENTÓW.

Nic gorszego jak spotkać politykoma: zepsuje ci humor, apetyt, krew i żółć na trzy dni i trzy noce. Pędzącego w najpilniejszym interesie zatrzyma cię, urwie po kilka guzików od marynarki, kamizelki itd., a co najważniejsza zirytuje do tego stopnia, że nie sposób się potem między ludźmi pokazać. Z błyskawicami w oczach a pianą na ustach wołasz: „dajcie mi noża, i trzymajcie mnie“!

Wołasz nb. w duchu, bo politykoman huczy, perswaduje... szepce, grozi i głądzi bez przerwy, nie dając ci przyjść do słowa.

— A co nie mówiłem? — wykrzykuje tryumfalnie — Warszawa padła! zawsze to panu kładłem w głowę...

— Nie miałem sposobności słyszeć. — próbujesz się sumitować — nie widzieliśmy się od roku...

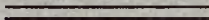
— Tak, tak... nie próbuj się pan tłumaczyć, zawsze byłeś pesymistą!...

— Ależ! ja... owszem, byłem i jestem optymistą!...

— Nie pan, to inni, przeczycie faktom! logice!...

I zaczyna ci szeroko i gęsto tłumaczyć doskonale znane i rozumiane fakty; mówi, mówi i mówi aż w ostatniej pasyi zaczynasz na złość jemu i sobie przeczyć, n. p., że Warszawa leży nad Wisłą, etc. i w końcu pędem lecisz po proszki na ból głowy.

Takich to mamy fabrykantów opozycyi, grasujących po ulicach, ku utraپieniu miłośników spokoju.



POWOJENNE MUZEUM.

Rzecz dzieje się w roku 1925 w „Polskim muzeum powojennem”. Jest to ad hoc odgraniczony mały odcinek kraju. Grupa turystów na wozie Coocka z Baedekerami ogląda dziwowisko. Przewodnik w stroju pogorzelnika tj. w samej koszuli, zaszczerpiony przeciw cholerze, opowiada wymownie o dawnej przeszłości tych stron:

— Tu było miasto!...

— Nie możliwe! — wykrzykują turyści — a duże?

— Niewielkie, 2.000 domów, z 30.000 ludności, tu gdzie ta budka, był lokal wyborczy, a tu magistrat...

— Kolosalne! A są jakie szczątki?

— Owszem! Pozostało archiwum podatkowe, zaległości ściągają się powoli od mieszkańców...

— A gdzie oni?

— Mieszkają w nowym mieście pod ziemią, w dawnych „zakrywkach” strzeleckich. Teraz już nie boją się wojny. Miasto jest doskonale zabezpieczone, znajduje się na 200 metrów pod tymi kartoflami.

— Aaa!...

— Można zwiedzić. Wstęp dwie korony od osoby.

Turyści zjeżdżają windą do miasta, zwiedzają zachwyceni osobne gabinety panopticum jak: „Kuchnia wojenna — kartofle w 365 daniach“, „Zapasy ewakuacyjne“, „Szrapnel rosyjski z piaskiem wewnątrz“ itp. Wstęp do gabinetów w niedzielę i święta — 20 halerzy.

Będzie zarobek!...



NIE PODAWAĆ RĘKI!

W jednym z pism lwowskich ukazała się doniosła ankieta w sprawie — nie podawania sobie ręki!...

Zabrali w niej głos pierwszorzędni lekarze, profesorzy uniwersytetu, specjaliści chorób skórnych i wenerycznych, bakteriolog, fizyk miejski, weterynarz, lekarka chorób kobiecych, specjalista chorób epidemicznych itp. — i wszyscy zgodzili się na jedno, że „w obecnych czasach wszelkich epidemij, nie należy sobie podawać rąk, gdyż przez to przenoszą się choroby jak: tyfus, świerzb, gruźlica skóry itp. Stwierdzono bowiem, iż w czasach epidemii, ręka jest rozsadnikiem najniebezpieczniejszych chorób infekcyjnych“.

Zwyczaj podawania sobie rąk przyjął się u nas najniefortunniej, tyle jest przecie sposobów witania się np. można salutować po wojskowemu, po rzymsku — wyciągając prawą rękę do góry, po meksykańsku — otwierając kurek u rewolwera, po pensyonarsku — wdzięcznym dygiem, po eskimosku — odwracając się tyłem, po — etc. etc. Europejczycy jednak uwzięli się na podawanie sobie ręki, czyniąc to bezmyślnie i nie zawsze w porę.

Rękę podawali sobie wierzyciel i notoroczny jego dłużnik, żyjąc sobie nawzajem w duchu nagłej a niespodziewanej śmierci, dwaj pieniaczący się na procesie adwokaci ściskali po rozprawach swe dłonie, jak gdyby nigdy, nigdzie, nic; przeciwnicy polityczni podawali sobie ręce, jak dwa Ajaksy — nawet zapaśnicy w cyrku przed walką gruchotali sobie palce u rąk, jako dowód... przyjaznych zamiarów.

Teraz będzie łatwiej uniknąć tego, niemądrego zresztą zwyczaju.

Hasło: „nie podawajcie ręki“! Wypleni ten niehygieniczny sposób witania się. Oby się tylko przyjęło!

Odpadnie z nas jeszcze jeden pokost przedwojennej obłudy. Na stanie złoty wiek higieny fizycznej i moralnej. — Wyciąga do ciebie na ulicy rękę X., o którym wiesz, że należy do twych przyjaciół od siedmiu boleści, chowasz obie dłonie do palta, mówiąc słodko:

„Nie podaję ręki, bo... cholera“...



„STALI“ PRENUMERATORZY DZIENNIKA.

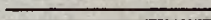
Najsympatyczniejsi to są „stali prenumeratorzy“ t. j. tacy, którzy pismo albo gratis otrzymują, albo dostają je od cioci, prenumerującej za połowę ceny. „Prenumerator“ taki uważa sobie za święty obowiązek czytać dziennik od pierwszej litery do ostatniej kropki, okiem argusowem śledząc niedokładności, błędy lub przeoczenia. Po dokonaniu takiej arcy-cenzury, siada „prenumerator“ i śle monitum do redakcyi: „Dlaczego pisząc to, nie napisaliście tamtego“ — albo: „czemu nie piszecie nic o doniosłej sprawie cerowania podartych parasoli? Czemu taicie wpływy wojny na staropanieństwo? Czemu sposób omawiania najważniejszych kwestyj jest u was niedokładny i niegodny szanującego się pisma?“ itp.

Rady takie, mające obok wielkiej naiwności ściślejszą przynależność do księżycy niżli do chwili obecnej, popierane bywają różnemi argumentami, różną ortografią, lecz zawsze opatrzone są podpisem — „stały prenumerator“!... Jest jeszcze odmiana łagodniejsza. Ci nie krytykują, ani piorunują, lecz z największym spokojem zasypują redakcyę zapytaniami i interesami w rodzaju: „Proszę o uprzejme napisanie mi gdzie można nabyć najlepszej dymki na prześcieradła?“,

lub „Pozwolę sobie poprosić o wiadomość, jak zachowują się krowy i papugi w czasie strzelania z Grubej Berty?”.

Dziennikarz chcący uwzględnić wszystkie te żądania, musiałby nie tylko posiadać w głowie bibliotekę Jagiellońską, lecz mieć nerwy z betonu, wolny czas jak „stały prenumerator“ i co najważniejsze, musiałby przez pół dnia stać na głowie, aby przyjąć żądany punkt widzenia.

A najdziwniejsze, że „stały prenumerator“ nie jest nigdy stałym, a prawie nigdy prenumeratorem. — Słusznie też mówi Ecclezyasta: „różne stworzenia ma Pan Bóg na swoim wikcie“...



WOJNA ZA LADĄ.

O bok „krakowskiego targu“ słyneła do niedawna uprzejmość tutejszych kupców: „Całuję rączki“, „Padam do nóżek“, „Ściele się do stopek pani dobrodziejki“ itp. były wprost przysłowkowe w innych dzielnicach. Olśnieni tą nadwersalskością naszych kupców Królewiaczy i Poznańczycy rozwodzili się szeroko nad nią, stawiając za wzór swym dostawcom. Tak było dawniej — teraz często bywa niestety inaczej.

Do zatłoczonego sklepu, wsuwa się nieśmiało klient:

— Czy mógłbym prosić o łaskawe sprzedanie mi pół funta cukru?

— Nie ma! i nie będzie! — ofuknie go kupczyk.

— A czy dostanę kawy? — interpeluje jeszcze pokorniej konsument.

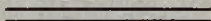
— Brakło! — odzywa się gniewnie pomruk z za lady.

Gdzieindziej znów we wściekłość wprowadza króla grysiku czy grochu, zapytanie o mąkę lub makaron:

— Tu nie ma grymasów, trza brać co dają! — poucza wybrednia.

To też targ obecny w niektórych sklepach przypomina czasem rodzajowe sceny z naszych karczem, sypią się dosadne epitety itp. A wszystko to stąd pochodzi, że wojna odwróciła dawne przysłowie o tabakierce i nosie.

Kiedyż wrócą dawne dobre czasy krakowskiej uprzejmości!...



WOJNA A GĘŚ.

Gęś jest instytucją bardzo doniosłą, nie tylko na półmisku; w życiu ludzkim odgrywa ona ważną rolę, od poduszki niemowlęcia aż do jaśka dorosłego już człowieka, czy kobiety. Można zmieniać poglądy, sympatyje, orientacje — gęsiej jednak orientacji nigdy się nie zmienia, wracając codziennie do party poduszkowej. Można słodki uścisk jaśka zastąpić wałkiem sofy, albo nawet rynsztokiem, lecz jak długo sypiać będą ludzie a żyć gęsi, entente ich nie zniknie mimo puchowo lekkiego traktatu.

Najlżejsza i najniewinniejsza z rzeczy na świecie — puszek, gdy dorósł w twarde pióro, był nieraz powodem tragedji. Gęsiem piórem pisał Szekspir, Dante, Zacherlin, (wynalazca perskiego proszku); jeden gzygzak pióra na wyroku ucinał najhardszą głowę, a sznur ich, niszczony ręką, czy rączką grafomańską wpędzał do grobu redaktorów i wydawców. Gęś stała się symbolem apetytu, dosytu, a w przenośni cechowała serdeczną naiwność pańien w wieku lat 14 do 68.

Wojna obecna podniosła sprawę gęsią do wysokości kwestyi stanu; przestali się nią zajmować poeci, dla których stała się mytem, a zajęli się ekonomiści, politycy. Z literatury pięknej i rymowanej

przeszła do suchej prozy magistrackiej i sądowej, zajmując poczesne miejsce w ostatnim tworze fantazyi ludzkości — taryfie maksymalnej...

W jednym numerze „Czasu“ znalazłem aż trzy wzmianki o nich. Dowiedziałem się że „w Czarnkowie na ostatnim targu pewien włościanin zażądał — 31 mk. za gęś czyli dwie i pół marki za funt“. Gęś ta, aczkolwiek z najlepszego domu pochodząca, wydała się władzom za droga i ukarano wspomnianego sprzedawcę za lichwę żywnościową.

Gdzieindziej znów, w Smiglu, pewna kobieta przyniosła na targ dwie gąski, żądając za nie po dwie marki (!) za sztukę, za co znów aresztowano ją, bo sądzono, że pupilki jej pochodzą z kradzieży. Okazało się jednak, że kobieta oddana wyłącznie edukacyi gęsi, nie wiedziała nic o wojnie ani cenach, jakie ona stworzyła.

Trzecia wieść ma już charakter zdecydowanie dramatyczny. Donosi o pogromie osady gęsi w Hohenschönhausen. Dokonali go jacyś gwałciciele gęsiego Burgfriedenu, zabijając 33 ofiary i unosząc ich trupy w a u t o m o b i l u !!! ku szkodzie i żalowi właściciela. Stratę swą obliczał on na przeszło 800 marek...

Takie to niezwykle koleje przechodzą teraz gęgate przyjaciółki człowieka.



Z MASARSKIEJ ARYTMETYKI.

Półową 500 — jest 250, półową 250 jest 125, półową 125 jest 62 i pół a półową etc., tak mówi teoria arytmetyki. Zamieńmy to na — np. szynkę: funt szynki (w naszych masarniach) — 500 gramów, pół funta (w naszych masarniach) 250 gramów, ale ćwierć funta 120 gr., więc licząc skrupulatnie po 6 kor. 92 hal. za funt, dojdziemy do dziwnego wyniku — pół ćwierci-ćwierci-ćwierci funta szynki czyli $\frac{1}{32}$ — kosztuje 6 hal., a waży 00 gramów. A wszystko to w niektórych naszych masarniach powstało w ten sposób, że przy każdej dawce ćwierci funta szynki, uprzejma panienka skraca sobie ułamkowy rachunek wag przez ujęcie 5 gramów. Spróbujcie zaoponować Sz. Czytelnicy a odpowiedzą Wam tonem przekonującym jednocześnie dwie ulice sąsiednie, że „u nas zawsze tak się waży, a jak panu (pani) nie re ch t, to niech pan (pani) nie kupuje!“

Ciekawy to objaw masarnianej arytmetyki — prawda? Odwróćmy też powyższy wywód: gdy $\frac{1}{32}$ funta szynki za 6 hal., a ważący 00 gramów pomnożymy przez kiełbasę, boczek, martadelę — robotę, skórę, zysk i nakład masarza, to otrzymamy — świń st w o.

IŚĆ LEWĄ STRONĄ!

Wojna przyniosła nam pożyteczną inowację — tabliczki na Plantach i ulicach z napisem: „iść lewą stroną“. Imperatywny ten napis radzi przechodniom, by ułatwiając sobie życie, mijali się na lewo, nie nałazili na siebie, oszczędzali sobie i bliźnim obcasów itp., wogóle, by starali się cyrkulować prawidłowo.

W praktyce jednak trzeba będzie chyba dobrych kilkudziesięciu lat, by szanujący się Krakowianin kierował swe podeszwy na lewo, a nie wszędzie, gdzie można i nie można, z całą swobodą wykolejonego tramwaju. Przecie szyk nasz polegał właśnie na tem, by sunąć gromadnie a nieskładnie tak, że trzech Krakowian potrafiło uczynić na linii A—B ścisk i tumult, jakiegoby i tysiąc Londyńczyków nie umiało.

Cóżto? mamy się wzorować na jeleniach, tygrysach i słońiach pendzabskich, które inną drogą idą do wody, a inną wracają? Nasze Planty nie dżungla, byśmy przejmowali zwyczaje czworonogów, albo co gorsza pociągów kolejowych, które zawsze minąć się muszą.

Właśnie, że nie! u nas najwięcej chodzi się na prawo, co drugi Krakowianin pur sang jest prawnikiem, co trzeci należy do

prawicy, większość dokonuje doniosłych rzeczy prawicą tak, by nie wiedziała o tem lewica — mamy więc stare tradycje, aż tu nagle każą „iść lewą stroną“ i to niewiadomo... czego. Czy lewą stroną ciała, czy butów, czy — prawa, czy wreszcie chodnika??... — to nie dla wszystkich jest jasne — a wielu może zdemoralizować...

Wszyscy jednak, szanujący się Krakowianie pilnie przestrzegają, by omijać, bodaj w dzień lewą stronę i wskutek tego lewe części trotuarów są puste, a na prawych duszą się w tłoku.



WOJNA NA ESTRADZIE.

Otrzymałem list z wymyślaniem...

Czytelnik: Co mnie to obchodzi? Od tego Pan jesteś!

— Tak, ale list był bardzo interesujący, a jego skutek jeszcze więcej...

Czytelniczka: To sprawa osobista, nie czytam dalej...

— Zaraz, zaraz, bardzo ciekawa, gdyż cudem stałem się kompozytorem.

Czytelnik i czytelniczka: Ooo! piszże Pan prędzej.

— Zacznę od początku. Był sobie koncert i był sobie dziennikarz...

Czytelniczka: Muszę usiąść, bo zanosi się na piłę...

— Proszę nie przeszkadzać, bo nigdy nie skończę. Otóż: Grono amatorów kompozycji urządziło koncert. Byłem na nim, napisałem, za co mnie zwymyślano od hebesów, „niefachowców“ etc. Przy końcu czytania tej energicznej epistoły usnąłem i we śnie spłynęło na mnie cudowne natchnienie: napisałem „pastel“ muzyczny pod tytułem „Recenzja“. Rzeczą uważam za genialną, wystawię ją w No-

wojorskiej operze. Mam już prawie gotowe libretto; muzykę podłoży mi jeden z „fachowych“ kompozytorów Wielkiego Krakowa.

Czytelniczka: Cóż to za pastel?

— To dlatego, by było trudniej zgadnąć. Jak w zagadce albo jednej z zeszłorocznych nowelli naszego teatru.

Czytelnik: Zaczniże Pan raz o tym pastelu!

— A więc: rzecz się dzieje w kącie sali koncertowej, w pięć minut po skończeniu programu. Występują osoby na pół żywe i postacie symboliczne: ostatni Słuchacz, którego zbudziła nagła cisza, spocony Kompozytor, Noga od Fortepianu (przednia z prawej strony), Partytura i Fotel:

Słuchacz (zrywając się): Bravo! bravissimo! autor! (ziewa) bis! tris! (ziewa) bis!

Kompozytor: Dziękuję! Prawda, że ładne? 56 ludzi dało się na wszelkie sposoby. Ale co zresztą Pan się na tem znasz...

Słuchacz: Zachwycające, ale Panie, ta pierwsza część Pańskiej elegii przypomina mi dziwnie „Małgorzatko, kocham cię na rzadko“...

Noga od Fortepianu: Jak Pan śmie! Pan niefachowiec, to jest przerzewne larghetto, largo, na końcu andantissimo! żeby to zrozumieć, trzeba być artystą, a nie słuchaczem za 1 koronę. Te tremola i basy tłukące się jak upiór w trumnie za dużej na niego o 2 numery, to jest wspaniałe, pirramidalne!

Partytura: A to hebes! drugą część oklaskiwano już ty-siące razy jeszcze za nieboszczyka Haydna, a on to teraz będzie krytykował. Trochę zmienione, o jedno C więcej, ale arcydzieło! zwłaszcza, gdy się C opuści — ja się na tem znam.

Słuchacz: Tak, lecz środek strasznie nudny, usnąłem, cierpiąc na bezsenność od roku. Państwo pozwolą, mnie się to nie podoba.

Fotel: Siadać! Proszę siadać! Pańską rzeczą jest siedzieć. Nie tacy na mnie siedzieli, a bili brawo. Autor jest młody, a umie wybrać ze źródeł. Należy go zachęcić (to mówiąc skrzypi w c-moll).

Czytelnik: Co to wszystko znaczy? Czy Pan przypadkiem ze mnie nie kpi?

Noga od Fortepianu: Cóż to za głos? a kysz!

Fotel: To czytelnik, czeka na recenzję za swoje 10 ha-
lerzy. Znowu napisze jakiś „niefachowiec“. To bezczelność!

Partytura: Muzyka nie jest dla słuchaczy z jakiegoś po-
ranku, ich rzeczą jest siedzieć i słuchać, albo spać. Krytyka do
nas należy. Mistrzu napisz Ty!

Noga, Fotel i Partytura: Nie dopuść, Mistrzu, „niefa-
chowca“; napisz sam, znasz najlepiej dzieło i Ty je jeden
rozumiesz.

Czytelnik: Jaki? Nie dość, że komponuje, jeszcze mi każe
czytać autopanegiryki!

Kompozytor: Napiszę! Precz z krytyką, hebesami,
(zrywa kołnierzyk i pisze na nim): „Nadgenialne dzieło obie-
cującego autora, pełne nowych walorów!“...

Słuchacz: Błaga! plagiat! piła! veto!

Noga odrywa się od fortepianu, kopie słuchacza i łamie mu
krzyż. On pada, a orkiestry złożone (16 ludzi), chóry i Kompozytor
śpiewają hymn: „Nie hody Hryciu“...

Z ROZMÓWEK NA PLANTACH.

Po jednym ze zwycięstw armii sprzymierzonych podsłuchałem na Plantach następującą rozmowę grupki poważnych panów:

Entuzyasta: Vivat zwycięstwa! Nareszcie koniec!

Pesymista: To nic! do końca jeszcze daleko! A Japonia, a Ameryka!? Na Kaukazie ofenzywa, Turcy stracili przeszło 3000 worków z piaskiem. Persya porozumiała się z Dalaj Lamą. French mobilizuje korpus nieszczęśliwych małżonków i zdradzonych narzeczonych. Francuzi kopią tunel aż pod Berlin. D'Annunzio jedzie na front — wojna teraz dopiero się zaczęła!...

Optymista: Wojna skończy się przed pierwszym. Kongres pokojowy odbędzie się w Krakowie. Jak mi pod sekretem powiedziała pewna poinformowana osobistość, zaczęto już odświeżać salę na Kotłowie.

Dyplomata: Przedewszystkiem podda się komasacyi Europę i Afrykę. Koszta kampanii nałoży się Chinom. Honolulu przyłączy się do Wielkiego Podgórza. Persyę odda się księciu Monaco.

Melancholik: Co to będzie, gdy wojna się skończy? Partnerzy od labeta gdzieś mi się podziałli, dzienniki znów będą puste. Moratorium zniosą! Żle panowie!

Hurtownik: Wojna powinna być zawsze! Międzynarodowa liga dostawców nie zgodzi się absolutnie na pokój, chyba, że państwa przyjmą taryfę maksymalną na 99 lat!

Pilny czytelnik pism: Sytuacja jest niejasna! Bo jeżeli „Secolo“ ma rację pisząc za „Timesem“ o tendencyjności artykułów „Nowego Wremieni“, to przecie „N. Freie Presse“ nie myliła się, wątpiąc o wiarygodności artykułu „Neue Züricher Ztg.“ jakoby korespondent „Petit Parisien“ na własne oczy widział króla Nikitę jedzącego pieczeń baranią w serbskim sosie i pijącego jeszcze onegdaj florenckie Chianti. Ja myślę, że korespondent „Pester Lloyd“ donoszący za „Cambaną“ o niebezpieczeństwie czarnogórskim dla naszej baraniny, czytał ostatni artykuł „Tanina“ pt. „Z palcem w zębach“.

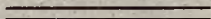
Jeden rozsądny człowiek: Macie panowie czas?

Wszyscy: Nie!

Jeden rozsądny człowiek: To chodźmy na wódkę.

Wszyscy: Doskonale!

I poszli...



NOWOCZESNY SOKRATES.

Przyjacielowi memu, a właściwie jego żonie urodził się syn. (Teraz przeważnie rodzą się chłopcy albo... dziewczęta). Ojciec uszczęśliwiony, młoda mama jeszcze więcej, a już najmniej sąsiedzi. Dziecko jest nadzwyczajne, z przedziwną energią i muzykalnością wrzeszczy aaa... nie wyjawiając swej orientacyi, zdaje się jednak, że będzie — Nestlofilem.

Punktualność nowego obywatela jest fenomenalna. Urodził się dokładnie co do minuty w podanym przez siebie czasie, humor ma brylantowy, apetyt niczem dostawca armii, wprost katastrofalny dla ojca — literata. Pracę dnia rozdziela na posiłek i spoczynek, w wolnych chwilach myśli i uśmiecha się, dość często zmieniając aaa... na inną samogłoskę, w innej tonacyi, słowem — jak twierdzi zachwycony ojciec — jest nadzwyczajny!

We wszystkim tem jednak bardzo jest podobny do innych noworodków, zająłem się zaś nim głównie z powodu istotnie nadzwyczajnego imienia, jakie mu nadano.

Nazywa się, już się bowiem nazywa — Sokratesem, mając jak utrzymuje mama, wszystkie po temu warunki. Posiada nosek zadarty, głowę trochę łysawą, wydatne wargi — i jest bardzo mądry...

A więc po 2314 latach urodził się drugi Sokrates! — czy mogłem o tem nie donieść Sz. Czytelnikom?

Jak wiadomo, poprzednik obecnego, Sokrates I., ten dziwaczny filozof ateński, chciał gwałtem rzeczy nazywać po imieniu — no, i rozumie się źle skończył (patrz Encyklopedia pod S.). Obecnie znów, gdy wiele rzeczy utraciło właściwe nazwy, lub inne przybrało i ustalenie definicyi dla licznych zjawisk trudne jest lub... niemożliwe — bardzo w porę urodził się ten Sokratesik. Może nam przywróci istotną nomenklaturę, może gdy on dorośnie, z perspektywy patrząc na nasze czasy, będzie mógł mówić o nich spokojnie i... rzeczowo, może...

Zazdroszcząc malcowi tego stanowiska, należy życzyć, by jemu udało się przywrócić właściwe wartościowanie wszechrzeczy.

Nie damy mu już cykuty — ale Hindenburg-Souppé.



KAPUSTA NA UNIWERSYTECIE.

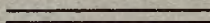
Można nie lubić muzyki, wierszy, magistratu, poziomek, ciasnych butów, tramwaju — ale kapusty, nie! Czy jest co lepszego od jej wcale nie ciasnych głów, pocziwych i cierpliwych; czy to na zagonie, czy w garnku spełniają one godnie swą służbę odżywczą, bez głośniejszego szemrania, nawet gdy zmiesza się je z politycznym wrogiem — grochem. To też dobrze się stało, że teraz w Krakowie, tak je uhonorowano: na Uniwersytecie Jagiellońskim — powstał specjalny wydział kapuściany!...

Nie do wiary, a jednak prawdziwe. Kto nie wierzy, niech czempredzej uda się do gmachu do Collegii Novi; w którejkolwiek godzinie, na któremkolwiek piętrze, w salach, na schodach, gabinetach, kancelaryach, gdzie chce — niech wciągnie powietrze a poczuje pożywną woń naszej kochanej kapusty. Gdyby udał się dalej do źródła tego zapachu, ujrzałby specjalne dla niej sale i laboratorium.

Oto w parterowych lektoryach, dawniej teologicznych, mieściły się kuchnie szpitala, gdzie od roku była wykładana, szatkowana i gotowana kapusta w charakterze „publicum“, dostępnem wszystkim — nosom.

O pożyteczności tych wykładów nie trzeba się rozwodzić, są „doniosłe“ nawet dla najbardziej zakatarzonych i dzięki najnowszej metodzie Berlitz’a, każdy może dowiedzieć się o ważnej roli kapusty w ekonomii, prawie, filozofii i teologii, rozumie się w czasach obecnych...

Jakże dobra i celowa jest pedagogia wojenna przy pomocy — głów kapuścianych — prawda?...



MANIFEST PACYFICZNY DO PAŃ.

Panie, Towarzyszki, Obywatelki, Rozwódki, Panienki, Wdowy, Sawantki, Ignorantki, Blondynki, Turczynki, Papuaski i Wadowiczanki, Lwowianki i Dębniczanki, Amerykanki i... łączcie się!

Dość już tej wojny! Pomnijcie na wielką Lyzistratę! Ona jedna — która od lat 2324 ma rację! Mimo że przystojna — była mądra jak prof. Kant; mimo że królowa, nie siedziała wciąż przed lustrem w brylantowych kolczykach; mimo że była poganką — była moralną; mimo że kobieta — zupełnie potrzebnie wtrąciła się do polityki.

Głosiła pokój — a orędzie jej odniosło większy skutek, niż wysiłki pacyfistów brzydkich, bo partya jej, to miliony. Raz tylko, za sprawą Arystofanesa były kobiety solidarne i dokonały rzeczy wielkiej. Spróbujcież Wy teraz!

Głoście i Wy pokój! Jak świat okrągły, gdzie tylko szeleści jedwab i sypie się puder, ogłoście bojkot „drugiej połowy“, która miast siedzieć przy Was, bije się bez końca, a zwyciężycie napewno!

Kobieta, jak wiadomo, powstała z Adamowego żebra: czy jest — pytam — mężczyzna nie kochający swych żeber — tj. Was? Czy jest mężczyzna nie robiący tego, co mu każe kobieta?!

Nie! nie! nie!

A więc! Białogłowy łączcie się! Gdy chcecie wiedzieć jak to się robi, przeczytajcie „Gromiwoję“, a ujrzycie sukces nad sukcesy: wiktoryę miękkich paluszków nad spisą i pancerzem i wróćcie biednej ludzkości spokój i pokój, osiągając sławę Wielkiej Lyzistraty.

Panie wszystkich krajów łączcie się!



KRAJ WIECZNEJ WOJNY.

W Meksyku znowu wojna. Jest to sympatyczny kraj, w którym wojna trwa stale. Dla nas winno to być nauką i pociechą, gdy obecna ledwie 120-tygodniowa już nam się przykrzyć zaczyna.

Do wojny bowiem można przywyknąć jak do papierosów „Drama“, a przyzwyczajwszy się zastosować warunki życia.

Mają one w Meksyku pewną archaiczną sielankowość i oryginalność; wyrabiają charaktery, upraszczając tak sztuczne u nas stosunki społeczne i towarzyskie.

Tam np. zwykła poobiedna partyjka labeta skończy się czasem zastrzeleniem dwóch partnerów i trzech kibiców, albo zaręczyny w podmiejskiej fermie koronuje porwanie narzeczonej, uduszenie na lassie oblubieńca i wycięcie w pień rodzin obojga. Nikogo to nie dziwi, bo wszyscy są ciągle jakby w akademii wojennej, gotowi na wszystko i spokojnie przyjmujący zrządzania losu.

Najoryginalniej jednak ułożyły się tam spory polityczne i stosunek obywatela do głowy państwa — prezydenta. Kto ma czas, pieniądze na proch i dość np. Carranzy, może nim zostać dzięki doskonałej procedurze.

Przedewszystkiem ogłasza się prezydentem sam — i wynajawszy sobie kilku, tygodniowo płatnych zwolenników przekonuje obywateli (przeważnie z bronią w ręku), że: „Carranza jest łotrem“ a on zbawi ojczyznę.

Podobnie jak za naszych b. pamięci wyborów.

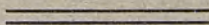
W każdym kraju jest zawsze legion malkontentów, w Meksyku są sami malkontenci w różnych tylko odmianach. Partya nowego pretendenta rośnie automatycznie. Dla samej zasady opozycji zwolennicy gotowi są spalić kilka miast, a dzięki tak silnej „woli ludu“ dochodzi on w ciągu paru tygodni do celu.

Szybszej kariery nie sposób zrobić w starej ziemi; chyba tylko dostawcy wojenni wykazują u nas coś podobnego. Zachodzą tu jednak ograniczenia konfesyjne, przez co nie wszystkim jest to dostępne.

Po jakimś czasie nowy prezydent zostaje powieszony przez swych zwolenników, nudzących się zbyt długim pokojem. Wakans znów się otwiera. Ktoś inny zajmuje jego miejsce, dopóki znów jakiś następca, nie usunie go w zacisze domowe — do więzienia, albo wraz z wojskiem wpędzi do zatoki Kampesz.

Jedynie w świecie praktyczne seminaryum dla polityków z większemi aspiracyami.

U nas obecnie na tle wzmożonego rytmu życia powstaje wielu takich; lecz na naszym jałowym gruncie osiągną ledwie mandat niemowy parlamentarnego. Warto też zwrócić ich uwagę na Meksyk...



CHYZAN — DO CHYZANU.

Żyćie ludzkie, to „kawał“, który „nie jest tak prosty jakby się zdawał“ — mówi poeta. Dzisiaj jeszcze zawięłańszy, niż kiedykolwiek.

Dawniej miałeś apetyt, a nie miałeś pieniędzy. Sprawa załatwiona. Dzisiaj masz apetyt i pieniądze — i dostajesz to na piśmie w postaci karty chlebowej, od której, jak mówi filozof, nikt jeszcze nie utył. Sprawa również załatwiona, lecz o ileż skomplikowanej!

Inny przykład.

Dawniej ogarniał cię nastrój samobójczy i chciałeś się ożenić. Nie było posagu. Sprawa załatwiona. Dzisiaj panuje głód na mężczyzn. Posagi same szukają nabywców. Pragniesz słodczy, bo karta cukrowa ci nie wystarczy. Przychodzi „musterunek“...

— Czy pan staje? — pyta przysła.

— Rozumie się! — odpowiadasz z dumą.

— To pogadamy, jak będzie pokój...

Sprawa znów załatwiona, ale odmiennie, niż dawniej.

Najlepszy jednak „kawał” jest teraz z chrzanem.

Do czego się chrzanu nie używa, wiedzą Szanowni Czytelnicy i Czytelniczki. Co do jego użyteczności, trzeba zaznaczyć, że używa się go np. do kataplazmów, nalewki, musztardy, tarcia, często także do mięsa. Cielęcina w sosie chrzanowym to konkursowy poemat literatury kuchennej. Kielbaski z chrzanem to duet miłosny, niczem w „Lucyi z Lamermooru”. Tak mniejwięcej było dotychczas. Chrzan wszedł w przysłowie: „Kto ma na mięso, ma i na chrzan” — stwierdza mądrość narodów.

A teraz?

Na Rynku głównym w Krakowie piętrzą się góry chrzanu. W dniu targowe jest go tyle, że wystarczyłby dla wszystkich honwedów, lubiących chrzan z papryką (taki jest najsmaczniejszy!) Byłoby dość i wtedy, gdyby cała kula ziemską zamieniła się na szynkę, gdyby Europa z połową Azji umówiła się, że we wtorki i czwartki żyje tylko kielbaskami z chrzanem.

Ale chrzan występuje solo. To jest jego tragedią wojenną. Smętnie zwalony w kupy i kupki śni sen o mięsie. Dokoła gromadzą się grupy stoików, filozofujących na zajmujący temat:

— Skoro można jeść mięso bez chrzanu, czy nie możnaby jeść chrzanu bez mięsa?...

Dwóch spróbowało. Następstwa były smutne. Jeden eksplodował onegdaj rozwalając dom, w którym mieszkał, a drugi dał się zaangażować do cyrku, jako człowiek-szkielet.

Towarzystwo upiększenia Krakowa proponuje na pamiątkę tego chrzanowego urodzaju — zmienić nazwę miasta na Chrzanów i to nie tylko w dzielnicy Kazimierzowskiej.

Pewien zaś chemik wyznania chrzanowskiego, przetworzył natrętą jarzynę na tzw. Tabackersatz — Pursi-chrzan, doskonale palący się w tutkach „Assafoetida“ z watą antyseptyczną.

Poza tem jedynem zastosowaniem, zresztą tylko dla palaczy-smakoszków obecny nadmiar chrzanu jest nam, jak mówi przysłowie krakowskie:

„do chrzanu“.



„ZADEKOWANA“ SŁONINA.

Z tą słoniną, to było tak :

Była sobie słonina i wałęsa się rudera, Ta ostatnia : kość niezgody między „miłośnikami ruder“, a burzymurkami. Słonina należała do spekulantów, a rudera także. Właściciele słoniny uznali, że należy ją schować na czarną godzinę, tj. na taką godzinę, w której nie będzie już białej słoniny. I tak słonina wprowadziła się do rudery. Historyczne podziemia, legendarny magazyn skarbów Twardowskiego, potem Hawełkowski pałac tokajów, burgundów, ostryg i rodziny Clicquot, przytuliły miłośnie — świninę.

Bo nadszedł czas, że słonina dorównała skarbowi Twardowskiego. Stała się równie bezcenną i jeszcze bardziej legendarną. Ludzie jedli kartofle bez słoniny, kapustę bez słoniny, kaszę bez słoniny, kluski bez słoniny, wszystko bez słoniny. Okropność !

A właściciele ukrytych skarbów klepali się po własnem sadle i czekali, aby godzina jeszcze poczerniała. I doczekali się.

Bo pewnego dnia złapano na Rynku niezwykłą mysz. Jak stwierdziły na komisji koty, takiej myszy jeszcze nie widziano. Miała śliczną cerę, lśniące futerko, figlarne oczki i brzuszek jak radca miejski.

Wieść o tem rozbiegła się po mieście. Jedni widzieli w niej tłustą krowę faraonową, zapowiedź dosytu, Jakaś baba postawiła na loteryi piątkę (patrz w „Senniku egipskim”: mysz) i — wygrała „ekstrakto”. Zbiegały się tłumy na Rynek pod dom, z którego mysz pochodziła i dziwowały się całymi dniami. Rzecz doszła wreszcie do Najwyższego Miejskiego Ucha, pod którem zadrzała łydka na wspomnienie króla Popiela. Mysz zbadano chirurgicznie, bakteryologicznie, psychologicznie i stwierdzono, że piękny swój wygląd zawdzięcza spożywanej w wielkich ilościach słoninie. I to słoninie najwyższego gatunku, t. zw. zapasowo-kombinacyjnej.

Słonina w mieście?! Skąd? Dawno ślad po niej zaginął. Ale mysz konając pod mikroskopem wydała ostatni pisk:

— Krzysztoforzy!

Wtargnięto do podziemi. I okazało się, jak Merkury rozmnaża dobra przewidujących. Oprócz zapasiku słoniny (kilka wagonów), znaleziono parę wagonów sadła, mąki, ryżu, mydła, świec i innych pozycji najbliższej taryfy maksymalnej.

Cudem zajęła się policja, prokuratura i sąd. Uwolniono słoninę, a zamknięto właścicieli. I okazało się, że przewidywali oni czarną godzinę, ale nie dla siebie. Tak to gmach Krzysztoforów skompromitował się na starość.

Dobrze mu tak! Po co wdawał się ze świnią?



SPIS RZECZY:

Strona

Jak powstała Gruba Berta	9
Ona	15
Wojna za frontem	21
Wszystko to już było	27
Właściwy cel wojny	33
Cywilna odwaga „cywila“	37
Echa:	
Epoka dziecka	43
Czego nam teraz brak	46
Śladem Napoleona	48
Awans kartofla	49
Jozue II	51
Nadzwyczajny dodatek	53
Najwyższe uznanie	56
Gazy duszące	58
Fałszywe alarmy	59
Wielkanocne życzenia w roku 1916	61
Oświadczanie do P. T. Piekarzy	63
Sukces chirurgii	65
Moratorium	67
Nadtożalność	69
Pokojowe horoskopy	72
Karta chlebowa	74

	Strona
Moja akademia	76
Apologia apetytu	78
Rehabilitacja papieru	79
Blokada redakcyi	80
Wojna u podstaw	82
Jak się robi oponentów	84
Powojenne muzeum	86
Nie podawać ręki	88
„Stali“ prenumeratorzy dziennika	90
Wojna za ładą	92
Wojna a gęś	94
Z masarskiej arytmetyki	96
Iść lewą stroną	97
Wojna na estradzie	99
Z rozmówek na Plantach	102
Nowoczesny Sokrates	104
Kapusta na uniwersytecie	106
Manifest pacyficzny do pań	108
Kraj wiecznej wojny	110
Chrzan do chrzanu	112
„Zadekowana“ słonina	115



Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000554750



II 107853